POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 18-go grudnia 1943r.* **Rok V. Nr. 50**

IDEA CZY SIŁA

SIŁA W SŁUŻBIE IDEI

Wielka Brytania w wojnie obecnej, pod przewodnictwem Winstona Churchilla, hasłami i czynami swoimi zapisała jedną z najwspanialszych kart swojej pełnej chwały historii. Po upadku Francji i po Dunkierce nieuzbrojona stanęła twarzą do wroga rozporządzającego wówczas siłą militarną największą w dziejach wojen i podjęła walkę, zdając sobie sprawę z tego, że musi w nią rzucić wszystkie swoje siły i zasoby materialne i moralne. Moc do dokonania wysiłku, na którego rozmiary i owoce patrzymy z podziwem, czerpała i czerpie W. Brytania ze skarbów zasad, idei i wierzeń nagromadzonych przez wieki w duszy narodu.

Wielka twórczość i potęga Anglosasów w dziedzinie materialnej jest przede wszystkim wynikiem ich tężyzny duchowej i moralnej, na którą składa się poczucie odpowiedzialności przed własnym sumieniem i wynikające z niego zarówno prawo człowieka do samostanowienia o sobie, jak i obowiązek do prowadzenia życia czynnego, opartego na własnych postanowieniach i inicjatywie osobistej.

Społeczeństwo brytyjskie trzy i pół roku temu przyjęło nas z otwartymi ramionami, bo ceniło w nas naszą wolę nieugiętą do dalszej walki z okrutnym najeźdźcą, czerpaną z wiary w słuszność naszej sprawy oraz z idei, wierzeń i zasad, które przez wieki niepodległego bytu i przez lata niewoli prowadziły stale naród polski.

Reprezentujemy te idee, wierzenia i zasady z niezmienną wiernością, płacimy za tę wierność wysoką cenę, bo wierzymy, iż tak należy, bo wierzymy, że w ostatecznym rachunku ta wierność się opłaca.

IDEA W SŁUŻBIE SIŁY

Wspólny wróg W. Brytanii, Polski i wszystkich zjednoczonych narodów zawdzięcza swoją siłę również ideom, jakie sobie wytworzył w ciągu swoich dziejów. Chrześcijańską ideę wysiłku, karności, poświęcenia zbiorowego i zaparcia się siebie spaczył jednak stawiając ją w służbę nie tyle dobra i rozwoju jednostki ludzkiej, ile państwa, które zamiast być środkiem do celu dla człowieka na drodze postępu, stało się celem samym w sobie, bożkiem człowieka niemieckiego. Skutki katastrofalne tej fatalnej omyłki spadają obecnie na Niemcy same.

Przeżywamy teraz jeden z najważniejszych okresów historii ludzkości i patrzymy własnymi oczyma na ponowne potwierdzenie prawdy, że od niewielu na ogół założeń, wynikających z dziejów i geograficznego położenia kraju, zależy zarówno powstanie jak i upadek najpotężniejszych nawet narodów i państw.

Opierając się na tej prawdzie, historiozof niemiecki, Oswald Spengler, zapowiadał już 23 lata temu wojnę nieubłaganą aż do zupełnego upadku między światem anglosaskim a światem pruskoniemieckim, których ideowe podstawy na wzajem się wykluczają. Wojna ta, trwająca dziś już dłużej niż poprzednia wojna światowa, zbliża się do ostatecznych zmagań i rozstrzygnięć spodziewanych już w najbliższych miesiącach. Obok wysiłku bojowego, są przeto w pełnym toku także przygotowania pokojowe.

ZASADY MORALNE A T.ZW. "FAKTY"

Nikt nie przeczy, że powojenna odbudowa Europy i zapewnienie jej trwałego pokoju jest zadaniem jeszcze trudniejszym, niż wygranie wojny. Mało jest jednak ludzi w W. Brytanii, a nawet w Stanach Zjednoczonych, którzy nie wierzyliby, że także pokój musi być oparty na tych samych wypróbowanych zasadach moralnych, na podstawie których odniesione zostało zwycięstwo. Z tej wiary powstała Karta Atlantycka, przyjęta blisko dwa i pół roku temu przez wszystkie zjednoczone narody, a głosząca idee sprawiedliwości i równości praw i obowiązków w dziedzinie politycznej, gospodarczej i społecznej między wielkimi i małymi narodami oraz między poszczególnymi warstwami każdego narodu. Po niedawnych deklaracjach konferencji moskiewskiej i spotkań w Kairze i Teheranie wyłoniło się przeto pytanie: jak dalece zgadza się one z Kartą Atlantycką?

Na pytanie to w tej chwili nikt nie może dać pozytywnej odpowiedzi. Czytaliśmy natomiast komentarze z bardzo autorytatywnych źródeł pochodzące, które tłumaczą wyniki narad kierowników trzech państw, dźwigających dziś główny ciężar wojny, koniecznością stania na gruncie faktów i rzeczywistości przez wojnę wytworzonej. Nikt nie może zaprzeczyć, że z faktami zawsze należy liczyć się skrupulatnie, ale nie na to, aby się im poddać, lecz aby je opanować i dostosować do przyjętych i uznanych idei i zasad oraz do wynikających z nich celów.

Do rzeczywistości nie można też zaliczyć jedynie czynników siły materialnej, potencjału gospodarczego i rozmiarów terytorialnych państw biorących udział w obecnych zmaganiach światowych, podjętych w imię najszlachetniejszych haseł ludzkości. Składa się na nią także cały ogrom wysiłku i poświęcenia ze strony narodów mniejszych, które pierwsze miały odwagę powiedzieć decydujące veto zaborcom, pierwsze stawiły zdecydowany, choć rozpaczliwy i beznadziejny wprost opór przytłaczającym siłom najeźdźcy i proporcjonalnie poniosły i ponoszą największe ofiary. Nikt też nie może mieć wiary, że pokój oparty tylko na faktach stworzonych siłą, a nie na nadrzędnych ideach moralnych, mógłby być trwały. Pokój trwały musi być dziełem sprawiedliwości. Bez niej bowiem pójdzie się po linii najmniejszego oporu i zawrze się kompromisy, ponawiając stare błędy, z których wyrosła obecna tragedia Europy.

NAUKA WERSALU JEST INNA

Traktat Wersalski nie zawiódł bynajmniej dla tego, że usłuchawszy nakazu zbiorowego sumienia moralnego, starano się urzeczywistnić słuszną ideę samostanowienia narodów o sobie i w ten sposób rozdrobniono Europę, jak to niektórzy usiłują twierdzić, lecz dla tego, ponieważ państwa wielkie, pod wpływem właśnie interesów i faktów chwilowych zapomniały o nakazach moralnych, w imię których wojnę wygrały, i nie uczyniły należytego wysiłku, aby zorganizować skuteczne, zbiorowe bezpieczeństwo. Umowa monachijska zaś, dziś ze wstydem wspominana i dla tego zanulowana przez wielkie państwa, za nią odpowiedzialne, pozostanie na zawsze dowodem, do czego prowadzą także w życiu międzynarodowym kompromisy zawarte na mocy faktów i interesów materialnych.

Historia ludzkości ma swój wielki sens moralny ujawniający się stale od najdawniejszych czasów. Już św. Augustyn stwierdza, że imperium zachodnio-rzymskie upadło wskutek zaniku poczucia sprawiedliwości, które przecież w epoce rozkwitu państwa rzymskiego znalazło swój wyraz w prawie rzymskim. Tysiąc lat później współcześni historycy tłumaczą upadek państwa wschodnio-rzymskiego nieustannymi kłótniami wewnętrznymi, ciasną chciwością i próżnością jego obywateli, ulegających wskutek tego zgubnym złudzeniom.

WOJNA O CZŁOWIEKA I PRAWO MORALNE

Wojna obecna jest również wynikiem pogwałcenia praw kierujących losami ludzkości na niekorzyść wartości moralnych, które muszą być w pełni uwzględnione, o ile chce się zorganizować nowy świat wolny od obaw przed klęskami wojennymi i społecznymi, w myśl tez prezydenta Roosevelta. Już obecnie przynosi ona straszliwą klęskę państwu, które ją rozpętało, a które głosem krwi i pychy chciało zastąpić etykę chrześcijańską i w oczach świata dokonuje takich zbrodni, na które trudno by znaleźć przykłady równorzędne w przeszłości. Mimo nagromadzenia olbrzymich sił materialnych i stworzonych na skutek tego faktów politycznych, gospodarczych i społecznych, idee i zasady odwieczne, wypływające z sumienia ludzkiego, okazują się silniejsze od głosu krwi.

Fakty i rzeczywistość z nich wynikająca są niewątpliwie ważne, ale fakty nie myślą, człowiek natomiast myśli i ta zdolność zasadnicza jest podstawą zarówno jego godności, jak i praw i obowiązków indywidualnych i zbiorowych. Instytut Prawa Międzynarodowego na sesji odbytej w Nowym Yorku 12 października 1929 r. przyjął deklarację praw człowieka i zażądał międzynarodowego ich uznania na całym świecie.

Z tych samych źródeł moralnych wynikają także prawa narodów do niezależnego bytu i samostanowienia o sobie. Historia jest świadectwem olbrzymiego i nieprzerwanego wysiłku ludzkości celem zbiorowego urzeczywistnienia idei uznanych za słuszne i walorów z nich wynikających. Wysiłki zmierzające w tym kierunku zapisały najpiękniejsze jej karty, natomiast każde odstępstwo znaczone jest klęskami. To też pod groźbą nowej, jeszcze straszliwszej katastrofy, wojna obecna nie może zakończyć się kompromisem z fałszywymi ideami, dla których przezwyciężenia narody zjednoczone przelewają krew i ponoszą tak wielkie ofiary.

MICHAŁ KWIATKOWSKI

MARIAN WALENTYNOWICZ: Na czołgu



Szkic sytuacyjny

OD KAIRU DO KAIRU

Narady sojusznicze zakreśliły pełny krąg: po pierwszej naradzie "chińskiej" w Kairze, przyszła narada "sowiecka" w Teheranie, poczym znowu w Kairze narada "turecka." Roosevelt wyjechał w niewiadomym kierunku, zawadził o Maltę i podobno ma się zjawić w Londynie. Churchill pozostał jeszcze w Kairze dla dalszych rozmów. Prezydent Turcji, Inonu, odjechał do Ankary dla zdania sprawy gabinetowi i parlamentowi. Stalin odjechał do Moskwy, gdzie zapewne przyjmie nareszcie Benesza /żadna wizyta w czasach ostatnich nie była tak zapowiadana, odkładana i reklamowana, jak ta wizyta znakomitego gracza czeskiego/.

Nie wiemy, co uradzono w Teheranie, gdzie ceremoniał był wspaniały, chciało by się rzec, *wschodni*. Przez trzy dni mówili eksperci wojskowi, przez pół dnia właściwie naradzali się przywódcy polityczni. Co uradzili — nie wiemy. Przypuszczać by należało, że przede wszystkim zastanawiali się nad sprawami wojny. Inne rzeczy /na razie może niewygodne/ odłożono na lepsze czasy.

"*New Statesman*" w nrze z dnia 10-ego grudnia powiada całkiem słusznie, że wybór jaki stoi przed Rosją, przedstawia się tak oto: Rosja może przejść do ofensywy zimowej, ażeby sobie zapewnić zbiory r. 1944 z całej Ukrainy, ale zrobi to tylko wtedy, jeżeli będzie miała pewność, że na wiosnę uderzenie sojuszników zachodnich będzie takie, że właściwie stanowić będzie dobicie Rzeszy. Jeżeli jednak nie będzie miała tej pewności, to wówczas zagadnienie dla Rosji przedstawia się tak: musi ona utrzymać w rezerwie siły, albowiem i jej zasoby ludzkie nie są niewyczerpane, i rzuci je dopiero na lato, licząc, że rozstrzygnięcie nie przyjdzie przed jesienią r. 1944-ego.

Narady w Teheranie wykazały raz jeszcze, że USA i W. Brytania chcą za wszelką cene utrzymać najlepsze stosunki z ZSRR, że ich przywódcy idą najbardziej na rękę Stalinowi, że podkreślają demonstracyjnie przyjaźń dla Rosji. Nie wiemy jednak dalej, jak dalece udało się pogodzić polityczne pomysły i plany. Fakt, że niemal w dniu Teheranu generał Tito ogłosił swój rząd w Jugosławii i że przez to poważnie zaszachował rząd jugosłowiański w Kairze, rzuca pewien cień na ścisłość owej współpracy.

Nie wiemy też, jak mowę generała Smutsa można pogodzić z planami Rosji. Mowa ta miała momenty bardzo zastanawiające. Artykuł zaś "*Timesa*" z dnia 10-ego grudnia idzie wyraźnie po linii budowy *federacji całej Europy*, scalenia Europy, włączenia Rzeszy, której nie należy wyniszczać ponad miarę, która będzie Europie potrzebna. Tutaj mogą niebezpiecznie przeciąć się zamierzenia Anglii, która nie mając żadnych przesądów "rasowych," żadnych zasad "odwiecznych wrogów," a wyznając zasadę polityki elastycznej, przytomnej, polityki, która podtrzymuje słabszego przeciwko ewentualnemu silniejszemu—inaczej zdaje się pojmować zadania swoje w Europie, niż inne mocarstwa.

Narady w Kairze spod znaku Turcji były na pewno ciekawe, albowiem minister spraw zagranicznych Turcji Menemenjoglu był, jak sam rzekł, "brutalnie szczery." Polityka turecka w tej wojnie jest doskonała, tak jak w wojnie poprzedniej była fatalna. Politycy tureccy, jak się wyraził ktoś, kto zna ten kraj "łączą w sobie wielkie zalety: przebiegłość iście wschodnią, świadomość wielkości swojego dawnego imperium ottomańskiego, kulturę francuską i gruntowne wykształcenie niemieckie." Uważają oni, że Turcja ma położenie geograficzne niewesołe, że armia jej nie jest nowoczesna, że nie ma przemysłu wojennego. *Neutralność Turcji wynika zarówno z jej ostrożności, jak i tego, że nie wejdzie ona do wojny bez całkowitych gwarancyj*. Takie oto gwarancje Turcja otrzymała przez zabezpieczenie niepodległości Iranu i Persji. Być może, że Turcja chce jeszcze innych zabezpieczeń. Słychać, że Turcja mówiła o Polsce i o przykładzie Polski jako pouczającym.

Życzymy najlepszego powodzenia Turcji, krajowi, który po świetnych podbojach doszedł do wniosku, że należy budować "obronę w głąb" własnego narodu, instytucyj, kultury. *Stanowisko Turcji wobec nas jest wzruszające swoją uczciwością.* Turcja, w położeniu geograficznym tak podobnym do Polski, wie, co znaczą nasze kłopoty.

CO ZROBI TURCJA?

Kilkakrotnie wyrażaliśmy tutaj sąd, że Turcja będzie w pewnym momencie wojny pod silnym naciskiem. Bez udziału Turcji czy chociażby bez oddania baz tureckich, trudno sobie wyobrazić atak na Bałkany. Podobno Turcja byłaby gotowa oddać bazy w Anatolii dla lotnictwa sojuszniczego. Czy odda także Dardanele dla przejścia floty? Nie wiemy. Obawiać się należy jednego: *Niemcy, gwałtownie potrzebujący sukcesu, wykazania, że armia ich jeszcze potrafi zwyciężać, mogą zdobyć się na krok ryzykowny — uderzyć na Turcję*. Liczyliby oni na takie oto czynniki:

1/ armia turecka, chociaż bitna i odważna, nie jest odpowiednio uzbrojona, szczególnie jeżeli chodzi o czołgi i lotnictwo,

2/ przyczółek europejski Turcji jest bardzo "niedogodny" do obrony,

3/ Stambuł jest fatalnie podatny i wrażliwy na atak lotniczy ze względu na wielką ilość drewnianych budynków.

Turcja zdając sobie z tego sprawę zrobi na pewno wszystko, ażeby do wojny wejść wtedy, kiedy będzie jej wygodnie, kiedy będzie przygotowana.

POSTĘPY WE WŁOSZECH

Marsz ku Rzymowi dalej jest wolny, teren jest trudny, górzysty, nie wiadomo jeszcze, czy armie sojusznicze przełamały wszystkie linie obronne przed Wiecznym Miastem.

Siły sojusznicze we Włoszech wynoszą podobno — jak podają Niemcy — *ok.* 20 *dywizyj*, niemieckie — jak podają Anglicy — *ponad* 10 *dywizyj*. Walki są uparte, lotnictwo alianckie działa stosunkowo słabo.

Na razie bodaj nie należy przewidywać jakichś sensacyjnych posunięć na tym froncie.

BOMBARDOWANIE RZESZY

Przerwa, jaka nastała w bombardowaniu Rzeszy spowodowana jest zapewne pogodą, ale są może i inne jeszcze czynniki. Przypuszczać wolno, że obrona niemiecka ostatnio wzmogła się bardzo, że zarówno ogień z ziemi jak osłona myśliwców nocnych były nieprzyjemnie mocne.

Straty, jak podaje strona angielska, stale spadały, ale niemniej nie mogły być małe w tak poważnych operacjach. Stąd przerwa, która nie zachwyci na pewno wszystkich.

Wydawało się bowiem, że tym razem ofensywa pójdzie na "pełny regulator," że będziemy mieli do czynienia ze stałymi akcjami, nie dającymi spoczynku wrogowi. Nawet ogłoszenie, *że 25 procent miast niemieckich*, z tych, które atakowano, poszło w gruzy, nie pociesza nas bardzo. Ofensywa lotnicza ma wtedy pełny sens, kiedy prowadzona jest stale, bez wytchnienia.

Nie wiemy zatem, czy tej zimy oglądać będziemy nasilenie lotnicze, czy też raczej *spazmatyczne ataki*, a *dopiero wiosna* 1944-*ego przyniesie większe działania, t.zw. sustained bombing, trwałe bombardowania*, które istotnie może dokonać spustoszeń w "moral" niemieckim i w miastach Rzeszy, wyważyć z zawiasów życie miast, spustoszyć ośrodki przemysłu.

Raz jeszcze widzimy, że lotnictwo podlega pewnym ograniczeniom i że nie może ich jeszcze przeskoczyć. Polityka brytyjska jest oszczędna jeżeli chodzi o ludzi we wszystkich rodzajach broni i to jest słuszne. W myśl zbiorową tego narodu zapadły głęboko rany zadane młodzieży tego kraju na polach Flandrii i Francji. *Anglia nie może i nie chce prowadzić wojny rozrzutnej i ma ze swego punktu widzenia rację.* Nie wolno jej tego robić jako narodowi, jak to powiedział dobitnie Smuts, tylko 45-cio milionowemu, narodowi, który patrzy z niepokojem na sprawy przyrostu ludności.

MOWA SMUTSA

Mowa Smutsa wzbudziła liczne głosy krytyki. Tak być musiało, albowiem mowa ta zawierała wiele odważnych słów i myśli; ale jeżeli należy się zgodzić z tym, że to co powiedział o Francji czy Włochach nie może najlepiej usposobić tych krajów, to równie szczerze odniósł się on do W. Brytanii. O tym nie trzeba zapominać.

Głosy wywołane mową Smutsa są pożyteczne. Mowa jego nie jest zbiorem banałów, na które wszyscy godzą się jeszcze zanim mowa została wygłoszona. Dyskusja jaka wytworzyła się wokoło mowy Smutsa jest ciekawa. *Sprawa scalania Europy wchodzi nareszcie na tory, na których może się coś pożytecznego dla niej narodzić.*

Obawiać się bowiem należało, że plany *Federal Union* i t.p. staną się mrzonkami, *rojeniami marzycieli politycznych*. Jeżeli jednak W. Brytania poprze te plany swoim autorytetem — a od tego, czy zechce zależy tak wiele — *inaczej te rzeczy będą wyglądać*. Powiedziano niedawno, że "*największą słabością Anglii jest to, że nie wie ona jak, jest mocna.*" Istotnie ma ona w ręku olbrzymie atuty. *Takie atuty mogą się już nigdy w jej dziejach nie powtórzyć.*

Dlatego wszyscy szczerzy przyjaciele tego kraju, ludzie, którzy podziwiają geniusz brytyjski, kulturę polityczną tego kraju, *wrodzoną umiejętność rządzenia* /albowiem Anglik może rządzić innymi, rządząc sam sobą, panując nad sobą samym/, powinni dzisiaj tłumaczyć wszystkim w Anglii, *jak wielkie znaczenie ma to, ażeby Anglia nie poniechała swojej roli.*

Londyn, dnia 11-ego grudnia 1943

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

4 grudnia: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Tego samego dnia polski myśliwski dywizjon rozpoznawczy przeprowadził loty patrolowe nad morzem. Wszystkie samoloty polskie powróciły z tych działań.

—Inspektor Lotnictwa Polskiego płk. dypl. M. Iżycki udekorował w imieniu Naczelnego Wodza Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari lotnika st. sierż. Sylwestra Dudką, który odbył 34-loty bojowe w jednym z polskich dywizjonów bombowych, wykazując wybitne męstwo, połączone z narażeniem życia. Odznaczony jest Amerykaninem pochodzenia polskiego.

5 grudnia: W nocy z 4/5 polski dywizjon bombowy wykonał zadania bojowe. Za dnia polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Z działań tych wszystkie polskie samoloty powróciły.

6 grudnia: Ogłoszono oświadczenia Churchilla, Roosevelta i Stalina, wydane 1 bm. w Teheranie. Oświadczenia te dotyczą spraw związanych z obecną wojną i z przyszłym pokojem oraz integralności i niepodległości Iranu.

—Rozkazem Ministra Obrony Narodowej stworzony został pierwszy batalion P.S.W.K. przy Dowództwie Jednostek Wojska w W. Brytanii. W m.p. dowództwa odbyła się w związku z tym odprawa organizacyjna.

7 grudnia: Ogłoszono, że w dniach 4, 5, 6, bm. odbyły się pod Kairem narady między Churchillem, Rooseveltem a prezydentem Turcji Inonu.

8 grudnia: Święto Marynarki Handlowej. Z okazji tej Prezydent Rzeczypospolitej przesłał życzenia, w których powiedział: "Wkładem do wojny Polska Marynarka Handlowa wraz z Wojenną dokumentują niezaprzeczalne prawa Polski do korzystania w pełni z wolności mórz i pracy na nich."

9 grudnia: Ujawniono, że Dywizjon Ziemi Mazowieckiej w czasie jednego z ostatnich działań położył 2.000-ną z kolei minę na wodach nieprzyjacielskich. Z okazji tej naczelny dowódca Bomber Command, Air Marshal Harris przesłał dywizjonowi życzenia, w których oświadczył: "Jestem dumny, że mogę Wami dowodzić."

—Pilot Lwowskiego Dywizjonu Myśliwskiego w czasie patrolu nad morzem zestrzelił samolot niemiecki JU-88, nie ponosząc samemu żadnych szkód.

—Wojska sowieckie zajęły ważny punkt węzłowy Znamenka, w łuku Dniepru.

POLISH TROOPS IN NORWAY

Tytuł tłumaczy wprawdzie autora /"Polskie Wojsko w Norwegii"/, to też musimy mu wybaczyć, że o Marynarce wspomniał tylko mimochodem — i to o jednym okręcie. Ale może lepiej by było dać tytuł "Polish Forces in Norway" albo "Polish Army and Navy at Narvik" i wykorzystać jedyny w swoim rodzaju materiał historyczny, dokumentujący udział O.O.R.P. "Burza," "Błyskawica," oraz "Grom" w operacjach norweskich.

Na brak źródeł nie mógłby autor narzekać, bowiem zatonięcie "Groma" oraz walki polskich kontrtorpedowców omawiane były szeroko w prasie brytyjskiej i polskiej, a piękne sygnały admirała Cork and Orrery, "Jeszcze Polska" grana na pancerniku "Warspite" oraz pisma Admiralicji Brytyjskiej — dość wymownie podkreślają udział Polskiej Marynarki Wojennej. Dodać można, że autor użył szeregu zdjęć przedstawiających polskie okręty, nie uwidocznił tego jednak w tekście, tak że Czytelnik ma wrażenie, że chodzi o Marynarkę Brytyjską.

Mała rzecz, a wielka szkoda . . .

AMERYKANIE NA WYSPACH GILBERTA

Kilka nadpancerników z 16-to calowymi działami, kilkanaście lotniskowców i pół setki innych okrętów wojennych, oraz cała flota transportowców — brały udział w oceanicznej operacji przeciwko japońskim bazom lotniczym na wyspach Gilberta.

Według źródeł amerykańskich garnizon obydwóch wysepek wynosił około 4.000 ludzi. Po czterech dniach bombardowania /z morza i powietrza/ opór tej garstki był jeszcze tak silny, że brygada amerykańskiej piechoty morskiej została nieomal z powrotem wepchnięta do morza. W końcu, po 12 dniach walk na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych — bandera U.S.A. powiała nad wysepkami. Jeszcze jeden dowód znaczenia fortyfikacji i ducha bojowego załogi.

Jeżeli wyspy było trudno zająć, to utrzymać się na nich będzie jeszcze trudniej. Możliwe jednak, że Amerykanie chcą rozproszyć siły japońskie w walkach na przestworach Pacyfiku i tą drogą uzyskać okazję do rozprawy w obranym przez siebie czasie i miejscu, w najdogodniejszych okolicznościach.

Na razie zrobili skok z wysp Gilberta na sąsiednie Marshalla. Skok miał charakter zwiadowczy i brały w nim udział słynne "*Task Force.*" Zatopiono kilka okrętów japońskich i zestrzelono kilkadziesiąt samolotów. Japończycy oczywiście twierdzą, że było wręcz przeciwnie.

Straty swoje pokrywają Amerykanie w rekordowym czasie. Ostatnio zbudowano kontrtorpedowiec w 141 dni, korwetę w 25, a dwa nowe nadpancerniki po 45.000 ton, założone już po Pearl Harbour, mają niezadługo wejść w okres prób. Budowa ich trwać więc będzie zaledwie około dwóch lat /normalnie cztery/.

Wojna na morzu

LOTNICTWO MYŚLIWSKIE NA MORZU

Kanadyjski kontrtorpedowiec "Athabasca" trafiony został w Zatoce Biskajskiej bombą z szybowca rakietowego. Według prasy kanadyjskiej okręt miał 5 zabitych i 10 rannych, ale utrzymał się na wodzie. Podobnie miała się rzecz z wieloma innymi okrętami, na które samoloty niemieckie polowały przy pomocy "nowej broni." Okazuje się, że kierowane teleelektrycznie bomby rakietowe nie są znów tak straszne jak się w pierwszej chwili wydawało, przynajmniej w stosunku do celów ruchomych na morzu.

Okręt na morzu nie jest bowiem miastem, twierdzą czy ugrupowaniem terenowym, gdzie nie tyle chodzi o trafienie bombą w określony punkt, ile o pokrycie pewnej powierzchni. Okręt w ruchu przedstawia cel trudny i to tym bardziej, że przeciwnie do obiektów ruchomych na lądzie, nie jest na ogół związany pasmem drogi, a jest przeciętnie szybszy od czołga w terenie. Tym się też tłumaczy, że mimo bardzo słabej pomocy własnego lotnictwa, Marynarka Brytyjska nie została spędzona z Morza Śródziemnego w latach 1940-42. Obecnie, gdy współpracę lotnictwa prawie wszędzie posiada — leżą przed nią nowe zadania i możliwości.

Podkreślić należy, że mimo licznych baz lotnictwa niemieckiego we Włoszech, Francji, Grecji, Albanii i Dalmacji — okręty sprzymierzone pływają wzdłuż wybrzeży nieprzyjacielskich, nawet na morzu tak "wewnętrznym," jak Adriatyk.

Istota rzeczy brzmi więc: rozwój Lotnictwa i jego broni bynajmniej nie przesądza istnienia Marynarki; natomiast Marynarka pozbawiona skutecznej współpracy Lotnictwa własnego /morskiego lub przybrzeżnego/ może działać z trudnością i tylko w obliczu słabego w powietrzu przeciwnika.

Należy pamiętać, że powodzenie operacji morskiej lub amfibijnej jest dziś w dużym stopniu zależne od Lotnictwa Myśliwskiego. Oto dwa przykłady:

W nocy z 11 na 12 lutego 1942 roku niemieckie okręty liniowe "Scharnhorst," "Gneisenau" oraz krążownik "Prinz Eugen," wyszły z Brest, gdzie od 10 miesięcy były stale bombardowane przez lotnictwo brytyjskie, bez groźniejszych skutków. Okręty te w biały dzień przeszły przez cieśninę Pas de Calais pod osłoną kilkuset myśliwców własnych. Ataki lotnictwa brytyjskiego i sił lekkich *Royal Navy* nie odniosły pożądanego skutku, mimo wielkiej brawury i stosunkowo dotkliwych strat. Okręty niemieckie dotarły do portów macierzystych z nieznacznymi uszkodzeniami.

W sierpniu roku poprzedniego konwój angielski, złożony z 32 statków i 7 okrętów eskorty przebył również Pas de Calais, atakowany w ciągu 14 godzin przez lotnictwo nieprzyjacielskie z powietrza, a przez ścigacze na morzu. Na ratunek konwojowi pośpieszyło lotnictwo myśliwskie z baz brytyjskich. W rezultacie, choć Niemcy głosili zatopienie 12 statków, a uszkodzenie 10, zatonęło tylko 5, łącznej pojemności 5000 ton. Za to 75 samolotów niemieckich zostało zniszczonych i uszkodzonych, kosztem straty 16 brytyjskich.

Fakty te mówią same za siebie. Potwierdza je jeszcze sytuacja na Morzu Śródziemnym, zarówno w sensie dodatnim, jak i ujemnym. Lądowanie pod Salerno albo utrata Dodekanezu były jednakowo zależne od udziału lotnictwa myśliwskiego. W drugim wypadku myśliwców zabrakło i Dodekanez stracono.

PARĘ FAKTÓW

Krążownik włoski "Ottaviano Augusto," obsadzony przez załogę niemiecką, został zbombardowany przez lotnictwo amerykańskie w porcie Ancona. Był to podobno jedyny krążownik włoski w rękach niemieckich. Poza nim posiadają Niemcy na Morzu Śródziemnym około 30 kontrtorpedowców, pew[illegible] ilość okrętów podwodnych i du[illegible]. Wszystko to — może [illegible] wyjątkiem kilku okrętów podwodnych — należy do składu dawnej floty włoskiej.

Z Moskwy donoszą o zatopieniu na Bałtyku dużego transportowca niemieckiego /12000 ton/ oraz o uszkodzeniu dwóch duńskich promów. Finlandia podobno wycofała wszystkie swoje statki będące w służbie niemieckiej. Jej okręty wojenne pozostają na wodach terytorialnych.

Marynarka handlowa U.S.A. przyznała się do straty transportowców "Boston" i "New York," w drodze do W. Brytanii. Marynarka wojenna do straty od początku wojny 39 kontrtorpedowców. Mimo to wstrzymano budowę 427 okrętów obrony przeciwpodwodnej, zamieniając je na dalekomorskie barki desantowe. Tylko 3 amerykańskie okręty wojenne zostały zatopione na Atlantyku, począwszy od lipca 1942.

Tymczasem Japończycy twierdzą, że od przystąpienia do wojny zatopili następujące okręty Sprzymierzonych: 25 pancerników, 15 lotniskowców, 105 krążowników, 114 kontrtorpedowców i 46 okrętów podwodnych. W cyfry te nie wierzy chyba . . . sam japoński dowódca floty, szczególnie po ostatnich bitwach na Salomonach i Wyspach Gilberta.

WOJNA PODWODNA

Dwa skoncentrowane natarcia nieprzyjacielskich okrętów podwodnych na ważne konwoje atlantyckie, zostały udaremnione łączną akcją Lotnictwa i Marynarki. 6 korsarzy poszło na dno, ani jeden z okrętów sprzymierzonych nie zatonął. 3 inne niemieckie okręty podwodne zostały zatopione u brzegów Hiszpanii, 4-ty wolał dać się internować.

W początkach grudnia dwa inne konwoje atlantyckie zostały obronione przed atakami 20 okrętów podwodnych, kosztem straty jednego statku i dwu samolotów. Okręty i samoloty eskorty zatopiły 5, a uszkodziły poważnie 3 niemieckie "U." Stawka jest wysoka . . .

W listopadzie ilość zatopionych niemieckich okrętów podwodnych przewyższyła znów ilość zatopionych sprzymierzonych statków handlowych. Ta ostatnia zaś była najniższą od maja 1940.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

O.O.R.P. "Ślązak" i "Krakowiak" były w eskorcie jednego z najważniejszych zespołów brytyjskich, dowodzonego przez kontr-admirała Vian, słynnego dowódcę lotniskowców. Admirał Vian żywił takie zaufanie do polskich oficerów i marynarzy, że w czasie operacji pod Salerno wyznaczył dowódcę O.R.P. "Ślązak" i jego okręt — na dowódcę zespołu złożonego z 10 kontrtorpedowców /2 polskie i 8 brytyjskich/. Powierzono im osłonę najważniejszych okrętów floty brytyjskiej, od których zależało powodzenie operacji.

Zespół polsko-brytyjski wywiązał się z zadania tak dobrze, że mimo licznych nalotów nieprzyjaciela oraz kilku ataków podwodnych, ani jeden okręt nie został stracony i mogły one przeprowadzić działania wspierające desant, z niezwykłym powodzeniem. Wiadomo już, że ogień okrętów i samolotów floty ocalił lądujące wojska od zepchnięcia w morze przez znaczne siły nieprzyjaciela.

W szczególności "Ślązak" i "Krakowiak" odparły szereg nalotów nieprzyjacielskich, z których jeden, szczególnie niebezpieczny, przeprowadzony był przez eskadrę "Focke-Wulfów," za którymi podążały "Dorniery," rzucające bomby rakietowe na szybowcach, kierowanych przy pomocy radia.

Ta nowa broń, po której Niemcy tyle sobie obiecywali, zawiodła dzięki czujności kontrtorpedowców eskorty, które w porę otworzyły ogień, rozpraszając nieprzyjaciela. Dzięki temu żaden z ważnych okrętów brytyjskich nie uległ losowi włoskiego pancernika "Roma," który — jak wiadomo — trafiony bombą rakietową — zatonął.

Dowódca O.R.P. "Ślązak" raportował:

"Podkreślam bojowość, wytrzymałość, dobry nastrój i dobrą orientację załogi O.R.P. "Ślązak," która przez cały czas długiej i męczącej operacji zachowała wysoki poziom ducha bojowego."

Wiadomo jest ogólnie, że Marynarka odegrała pod Salerno zasadniczą rolę i jej to zawdzięczamy zwycięstwo, zakończone zdobyciem Neapolu. Skromny, ale wybitny udział "Pioruna," "Ślązaka" i "Krakowiaka" w tym zwycięstwie, należeć będzie do najpiękniejszych rozdziałów historii polskich Sił Zbrojnych w tej wojnie.

JULIAN GINSBERT

Pod Gazalą

Po rozpoczęciu angielskiej ofensywy w grudniu 1941 i uwolnieniu Tobruku Brygada Karpacka dostała rozkaz wymarszu z twierdzy i pościgu za cofającym się nieprzyjacielem, który zamierzał się bronić na linii Derna — El Mechilli. W tym celu zorganizował on obronę sto kilkadziesiąt mil przed Derną na linii Gazala — głęboko w pustyni, aby osłonić swoje przygotowania w rejonie Derny. Ofensywa angielska zatrzymała się na tej linii.

Wszystkie natarcia angielskie zostały odparte, nawet jedno bardzo gwałtowne, wykonane przez Nowo-Zelandczyków załamało się, prawie u celu i zostało odparte z ciężkimi dla nich stratami.

Brygada dostała rozkaz przełamania obrony npla i przedarcia się na tyły. Rozkaz ten wykonała przez natarcie w dniu 15.XII.1941, *czym uniemożliwiła zorganizowanie się nieprzyjaciela w rejonie Derny i zmusiła go do dalszego szybkiego wycofania się.*

—"Natarcie. Zadanie: zdobyć pozycje npla na 183. Kierunek natarcia kąt 320°. W lewo od nas — ci, w prawo — oni. Wspiera nas artyleria, zabrać amunicję plutonu. Wyruszenie za 5 minut. Kto chce o coś zapytać? Jasne? Wykonać!"

Tyle razy już słyszałem ten regulaminowy rozkaz i tyle razy bez wrażenia, że i teraz nie pozostawił on w głowie nic, oprócz dwóch cyfr 183 i 320. Wracam do plutonu. Naprzeciw mnie wybiega Paskudek z krzykiem, czy można herbatę gotować i że szofer nie chce dalej jechać; pewno się boi. Z wozu zeskakuje mój zastępca Poldek i przyłącza się do grupy wokół szofera, który usiłuje coś tłumaczyć wskazując na wóz, ale nikt go nie rozumie. Zresztą nikt nie słucha. Każdy patrzy jak jakieś trzy kilometry przed nami rozrywają się pociski artyleryjskie różnego kalibru — "To na pewno stopiątki"—mówi August. — "Co słychać?" — pyta, zwracając się do mnie. — "Zwołaj cały pluton — mówię mu — zaraz wam powiem."

Za chwilę pluton stoi. Powtarzam im rozkaz dowódcy kompanii. Natarcie . . . i t.d. każda drużyna zabierze po dwie dodatkowe skrzynki amunicji, doczepić sznury do skrzynek żeby można je było ciągnąć po ziemi. Kaszuba zabierze "boysa," Poldek da mi rakietnicę i rakiety, zabrać łopaty jeśli są. Za trzy minuty zbiórka. Rozejść się.

Pluton chwilę stoi, patrzą na mnie jak na wariata; może żartuję. Lecz miałem, widać, poważną minę, gdyż rozbiegło się wszystko bez zwykłego wrzasku i pytań. Ja tymczasem szukam na busoli koła 320° a potem usiłuję znaleźć coś w terenie na tym kierunku. Gdzież jest to 183 do pierona, pustynia równa jak stół. Tylko gdzieś daleko na horyzoncie może 20 km przed nami widać jakieś punkciki. Lornetka nic nie pomaga, ale domyślam się, że to samochody, setki ich, wydaje się, jak gdyby unosiły się w powietrzu tuż ponad ziemią.

Pluton już gotowy, drużyny stoją jakoś dziwnie cicho, nikt nie klnie. Nawet August, stara "glina," poczerwieniał i tylko spluwa. Wszyscy patrzą na mnie, jak czaruję busolę i lornetkę. Widzę, że sąsiedni pluton już gotowy, i w prawo też. Jeszcze dalej w bok widać inne kompanie, w grupkach.

Za minutę trzecia. Ruszamy. Kolumienkami drużyny jedna od drugiej po 30 m. Oglądam się w prawo i w lewo, wszyscy ruszyli. Nie wiadomo dlaczego dreszcz mnie przeszedł na widok tych kolumienek, których zdaje się niezliczoną ilość w jednym momencie pchnęła jakaś siła niewidzialna. Widać wszyscy czekaliśmy tego momentu z zegarkami w rękach.

Przed nami dosyć daleko jeszcze widać wybuchy pocisków. Padają gęsto. Nieprzyjaciel już rozpoznał natarcie i kładzie potężny ogień zaporowy. Dym i kurz nie opada, lecz tworzy coś w rodzaju chmury na ziemi, w której co moment rozrywają się pociski. Widać już wyraźnie czerwone błyski wybuchów. Jesteśmy coraz bliżej.

Na razie nie zdajemy sobie sprawy, że my idziemy w tę chmurę, że taki jest rozkaz i że tam wejść musimy. Myśl ta skryła się na dnie świadomości. Dziwnym skojarzeniem przypomniał mi się w tym momencie jakiś obraz z dawno widzianego filmu o Verdun — pochylone postacie żołnierzy z karabinami w rękach, w hełmach biegły na oślep w podobną chmurę i znikały w niej. A może to ten sam film teraz? Tylko, że ja jestem tym żołnierzem co biegnie na oślep, a tam z tyłu patrzą na mnie. Ale prawda! Ja przecież nie mam hełmu na głowie, a koło mnie biegnie Poldek, wlokąc skrzynię z amunicją przywiązaną do pasa na długim sznurze, a z drugiej strony Beznadziejny też ze skrzynką. Więc jednak naprawdę mamy wejść w tę potężną zaporę, a może każą nam wrócić, może odwołają, może przestaną strzelać!

Głupie gorączkowe myśli przelatują błyskawicami przez głowę, zupełnie bez związku. Przyszła mi ochota przeżegnać się. Busolą naznaczyłem krzyż na twarzy, ale tak by nikt nie widział. Chciałem jeszcze zmówić "Zdrowaś Mario," ale zawstydziłem się. — Przecież się nie boję. A zginąć? O tym nie wolno myśleć.

Drużyny już dawno rozsypały się w tyralierki. Wbiegliśmy w zaporę. Pociski rozrywają się tuż przed nami, na odległość kilku kroków nic nie widać. Bałem się, aby któryś z moich strzelców nie padł na ziemię, co mieliśmy w zwyczaju, gdy artyleria nas macała. Gdyby padł nie miałby już odwagi się podnieść. Straszne były te minuty, kilkanaście minut biegu przez ścianę ognia. Zapomniałem. Biegłem ciężko na oślep a za mną biegł pluton. Widziałem pochylone sylwetki kolegów z bronią w ręku lub wlokących za sobą skrzynki z amunicją.

W pewnym momencie jakiś ciężki pocisk rozerwał się tuż koło mnie, od samego podmuchu wywróciłem kilka kozłów i szczęśliwie poderwałem się znów do biegu. Kurz, huk, deszcz odłamków popędzał do szybszego biegu.

Przelecieliśmy wreszcie tę zaporę. Coraz jaśniej i widniej przed nami. Jeszcze kilkaset kroków i chmura została za nami. Padłem na ziemię bez tchu, ogłupiały. Pluton zbierał się powoli. Co chwilę ktoś gwałtownym skokiem dołączał i padał, ciężko dysząc, na ziemię. Za chwilę Marianek ryczy do mnie, że mu brak Michała. — Co mu poradzić lub odpowiedzieć? Przecież nie będziemy wracać po niego, ani czekać, tym bardziej, że artyleria zaczyna nas macać. Słychać dalekie odpalenia kilku ciężkich dział. Za kilka sekund nadlecą pociski. Już słychać ich gwizd — gdzieś blisko padną. Rosnący na sile gwizd wtłacza nas w ziemię, każdy robi się płaski, jak placek. Pół sekundy strasznego oczekiwania, modlitwy, przygotowania na śmierć i nadziei. Bum Bum.

Nareszcie. Chwała Bogu, że jeszcze nie. Żegna się kto pobożniejszy i wali skokami naprzód. Znów dalekie odpalenia, gwizd pocisków, i moment długiego, jak życie wyczekiwania. Okropnie to denerwuje, stokroć bardziej, niż ta zapora za nami. Tam to była burza. Człowiek stracił czucie, rozum, odwagę i strach, wszystko co było w nim, toczył się jak kamień — bez myśli i pamięci.

Artyleria bije coraz rzadziej — zbyt blisko podeszliśmy do nieprzyjaciela. Dawno już weszliśmy w sferę ognia małokalibrowego i zauważyliśmy to dopiero teraz, gdy brakło artylerii. Ale idziemy jak na ćwiczeniach. Spostrzegam się, że obserwuję swój pluton i wydaję nawet rozkazy. Co prawda to rozkazy te, a raczej machania lewą czy prawą ręką tuż nad ziemią, były raczej nieregulaminowe, a treść słowna daleka od tego czego usiłowali mnie nauczyć kiedyś w szkółce.

Sprawdzam kierunek natarcia, cholera zboczyliśmy i to dużo.

Podpełza do mnie Poldek i mówi, że Kaszuba ciężko ranny i leży sam daleko za nami, jęczy strasznie, sanitariuszy nie ma, opatrzył go, jak mógł Szczepek i dołączył. No cóż! Szkoda chłopa, ale na razie musi zostać sam.

Nasze natarcie jest jakieś dziwne. Nikt z nas nie strzela, zresztą nie ma do kogo, nikogo nie widać przed nami. Mają doskonale zamaskowane stanowiska, nie mogę się nawet dopatrzyć drutów. Tylko świst kul lub seria z c.k.m. i bardzo bliski odgłos strzałów, jak klaskanie z bicza dają poznać, że to gdzieś bardzo bardzo blisko.

Jestem szczęśliwy, gdy mam przed sobą trawkę, która nie pozwala mi patrzeć przed siebie, albo gdy jeszcze lepszym trafem jakąś małą kupkę piasku, która daje złudzenie doskonałej zasłony. Trzymając głowę jak najbliżej ziemi, usiłuję zobaczyć coś przed sobą. "Rozpoznaję." Nic, psiakrew, nie widać, a strzelają jak cholera, zdaje mi się, że co najmniej ze sto c.k.m.-ów wali na mój pluton. Gdy kulki przelatują mimo, to tak jak gdyby ktoś cienkim włosiem śmigał tuż tuż koło ucha: ps, ps, ps, ps. A za sekundę dopiero odgłos strzałów — jak oklaski.

Trzeba straszliwego zaparcia się siebie, żeby podnieść się do skoku i przebiec kilka kroków, tym bardziej, że zaczynają polować na nas. Gdy się tylko ktoś poderwie do skoku, prawie równocześnie wzmaga się ogień z c.k.m. Pociski biją wściekle w ziemię a ich gwizd przenika, zdaje się, nie przez uszy, ale przez całe ciało.

W pewnym momencie leżąc na ziemi zdaję sobie nagle sprawę, że te pociski to śmierć, która przelatuje w straszliwej bliskości. Gdyby tak ten pocisk co uderzył teraz tuż koło mnie w ziemię i zasypał mi twarz piaskiem, uderzył mnie w głowę. Włosy mi się zjeżyły. Staram się wcisnąć twarz w ziemię jak najgłębiej, aż zdarłem sobie skórę z nosa.

To mnie ocuciło. Oglądam się na pluton — wszyscy leżą. Jakieś działko ppanc. strzela do nas z boku, czerwone lub białe pociski przelatują kilka mestrów przed nami regularnie co trzy, cztery sekundy, znacząc je świetlną smugą tuż, tuż ponad ziemią. Nie sposób wydaje się przejść przez tę świetlną granicę. Gdybyż można było wybrać odpowiedni moment.

Leżymy jak przygwożdżeni. Ogień się wzmaga. Staram się usypać jakie takie przedpiersie przed sobą gołymi rękami, ale ziemia twarda. Wzdycham do pogardzanej łopatki.

Gdzieś daleko na prawo widać żółtą rakietę. Powolnym łukiem opada i gaśnie . . . Rany Boskie — sygnał na broń pancerną npla. Wygniotą nas jak grzyby. Przygotowuję i ja rakietnicę, jedyną broń ppanc jaką mam w plutonie, przypominam sobie rozkaz, aby w razie napotkania broni pancernej npla wystrzelić żółtą rakietę. Czekam z rakietnicą w dłoni, ale albo to była pomyłka albo to była rakieta włoska, jakiś umówiony znak między nimi, gdyż nic nie widać. Odzyskujemy pomału normalne bicie serca, które przed chwilą, zdawało się, chciało rozsadzić piersi.

Przeklęte działko ppanc strzela już nie przed nami, ale po nas. W prawo wskos ode mnie leży Michałek. Widzę, jak świetlna biała błyskawica mignęła koło niego. Pocisk uderzył w ziemię i olbrzymim rykoszetem odbił się wysoko w niebo. Michałek drgnął ciężko i przewrócił się na wznak. Jezus Maria — dostał. Czołgam się do niego ja, a z drugiej strony August, jego drużynowy. Ciężki pocisk przeszedł przez żołądek. Wyrwał straszną ranę w prawym boku, widać jak wyrwane na wierzch płuca jeszcze pracują. August czerwony, jak krew Michałka, patrzy na mnie dziwnym wzrokiem. Najlepszy żołnierz w drużynie, najbardziej przez niego lubiany.

Nowy pocisk działka przebiega w tak nieprzyjemnej bliskości, że mimo woli podrywam się i biegnę kilka kroków nie zważając na pociski z kaemów. Leżąc na ziemi, widzę spod pachy, jak z plutonu pojedyńczo dobiegają na moją wysokość. Przelatują na oślep przez tę świetlną granicę. Już są prawie wszyscy.

Jeszcze tylko Tadek, ale i on biegnie, pada, za chwilę dołączy. W chwili, gdy poderwał się do ostatniego skoku do nas — trafili go. Dostał pociskiem karabinowym w granaty, które miał pod pachą. Wszystkie eksplodowały. Obrzuciło nas krwawymi strzępami. Prawdziwa żołnierska śmierć, ze świadomością zadania i niebezpieczeństwa. Za Ojczyznę — tu w Libii.

Nikt z nas jednak nie stchórzył. Może za chwilę mnie wybierze, może kolegę. Ale Bóg był łaskaw. Szliśmy odtąd jak burza, z furią, nie strzelając, gdyż nie było czasu. Tylko skok, i padnij, i znowu skok.

Trudno uwierzyć, że się powiodło i żeśmy doszli. Przecież nieprzyjaciel miał nas jak na stole, bez najmniejszych zasłon i podpuścił nas aż do 50 metrów. Chyba niesamowite wrażenie musiało na nim robić, że on strzela a to pozornie nic nie skutkuje. Idą i idą. Przeszli przez zaporę główną, przez zaporę karabinów maszynowych z działkami i są coraz bliżej — całkiem blisko, z bagnetami na karabinach. I co najdziwniejsze — nie strzelają.

Włosi nerwowo nie wytrzymali, chociaż byli kilkakroć liczniejsi i lepiej uzbrojeni. Gdyśmy podeszli pod okopy i leżąc na ziemi krzyczeliśmy: "przygotować się do szturmu," zaczęli wychodzić z rękami podniesionymi i zbierać się w grupki.

Ogień słabł coraz bardziej, aż ucichł zupełnie. Nie wierzyliśmy oczom. Przed nami stały dziesiątki, setki, tysiące Włochów. Poddali się.

Dużo było jeńców, zdobyliśmy broń, sprzęt, a przez ten wyłom poszły inne oddziały daleko wprzód, nieprzyjaciel począł wiać na boki. Ofensywa po kilkudniowej przerwie ruszyła niepowstrzymanie naprzód.

A my zaczęliśmy się rozprawiać ze zdobytymi magazynami żywności, wina i koniaku. Jedliśmy kapustę z cukierkami i czekoladą, zapijając winem lub koniakiem. Wszystko było pijane. Nawet moja busola.

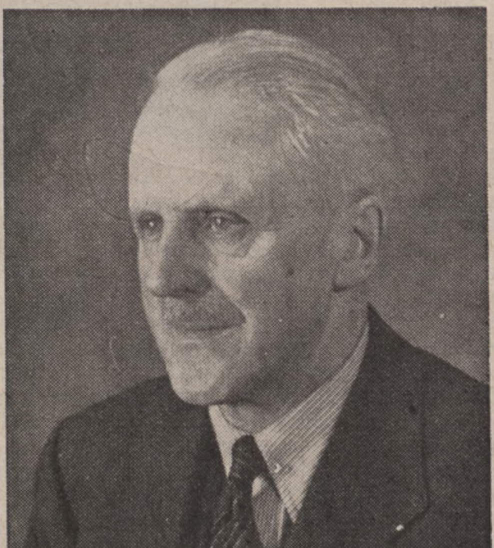
Zdobyliśmy "Ain El Gazala" — my Polacy.

JAN NIEWAŻNY

Następny numer /51-52/ "Polski Walczącej" ukaże się we wtorek dnia 21-go bm. rano. Administracja prosi uprzejmie o podjęcie przesyłek w tym dniu, względnie następnym /środa 22-go rano/ oraz o telegraficzne zapotrzebowanie dodatkowych egzemplarzy.

Numer wigilijny o podwójnej objętości /16 stron/ będzie zawierał: **Jana Karskiego:** "Polskie państwo podziemne" /pierwsze przedstawienie charakteru i organizacji ruchu konspiracyjnego w Kraju/, wspomnienia wigilijne: J.E.X. Biskupa Polowego **Józefa Gawliny:** "Pasterka w Betlejem," **Aleksandra Janty:** "Pierwsza wigilia jeńca," **Jana Nieważnego:** "Wigilia pod Gazalą," **Zygmunta Juszkiewicza:** "Sześć wigilii," essay **Marii Kuncewiczowej:** "Z biegiem Wisły," cykl utworów o kampanii norweskiej, Wacława Iwaniuka: "Purpurowy rejs," wiersz **Eugeniusza Romiszewskiego** "Kolęda 1943," artykuły: **Zbigniewa Grabowskiego, M. J. Gordona, Stanisława Szurleja,** "Trzecią szopkę bezblackoutową" **Wiktora Budzyńskiego,** prace plastyczne: **Janiny Konarskiej, Tadeusza Lipskiego, Stefana Osieckiego, Antoniego Wasilewskiego, Mariana Walentynowicza** i **Marka Żuławskiego,** liczne fotografie oraz zestawienie treści "Polski Walczącej" za rok 1943.

Dokument przyjaźni



Lord James Stewart Murray z Eastern Moncreiffe /obecnie książę Atholl, nie używający tego tytułu /wysunął się na czoło naszych przyjaciół w Szkocji przez bezprzykładne oddanie sprawie Polski i Polaków. Tysiące naszych żołnierzy zna go jako niestrudzonego orędownika naszej dobrej sprawy i serdecznego opiekuna naszych Sił Zbrojnych. Obecnie opiekuje się on specjalnie Domem Żołnierza w Edynburgu.

Lord James nauczył się naszego języka i jak jeszcze! Dowodem list jego do Ministra Obrony Narodowej, który tu podajemy jako dokument przyjaźni szkocko-polskiej:

Szanowny i Drogi Panie Generale!

Bardzo dziękuję za album z fotografiami Pana i współpracowników z czasów pobytu w Moncreiffe.

Nigdy nie spodziewałem się tak miłej pamiątki.

Grzeczność i zachowanie Polaków pod Pańskim Dowództwem zawsze będzie mile wspominane przeze mnie i okoliczną ludność.

Łączę wyrazy szacunku i poważania i ukłony dla Pani Generałowej

Szczery oddany

James Stewart Murray

Dekoracja Polaka z Ameryki



Dnia 4 grudnia 1943 *r. Inspektor Lotnictwa w imieniu Naczelnego Wodza udekorował krzyżem "Virtuti Militari" st. sierż. Sylwestra Fryderyka Dudka. Odznaczony jest obywatelem Stanów Zjednoczonych. Zgłosił się jako ochotnik do Lotnictwa Polskiego w* 1941 *roku. W jednym z polskich dywizjonów bombowych odbył* 34 *loty bojowe, jako tylny strzelec.*

W czasie 26-go lotu, na Frankfurt, st. sierż. Dudek wykazał wybitne męstwo. Mimo uszkodzonego przewodu tlenowego nie zgodził się, aby pilot zszedł z wysokości 20,000 *stóp /nie chcąc narażać załogi na silniejsze ataki myśliwców niemieckich/ i na tej wysokości wytrzymał półtórej godziny, przeprowadzając walki z myśliwcami i zestrzeliwując jednego "F.W.190" i jednego "Me.109."*

Przeniesiony do Lotnictwa Amerykańskiego st. sierż. Dudek prosił o możliwość dokończenia lotów operacyjnych w dywizjonie polskim i odbył 5 *ostatnich operacji — na St. Nazaire, Lorient, Frankfurt, Duisburg i Essen latając noc po nocy — w ciągu* 5 *dni.*

St. sierż. Dudek posiada obecnie odznaczenia bojowe trzech państw: "Virtuti Militari," "Krzyż Walecznych" czterokrotny, brytyjski D.F.M., i amerykański "Air Medal" z dwoma okuciami.

WIELKIE DNI ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Generał Sosnkowski i generał Anders

Kair—Palestyna, w listopadzie

Armia polska na Wschodzie przeżywa swe wielkie dni. Najdonioślejsze bodaj od ostatniego pobytu ś.p. generała Sikorskiego, który opisywaliśmy swego czasu na łamach "Polski Walczącej." Naczelny Wódz przebywa znowu wśród żołnierzy tej armii. Generał Sosnkowski odwiedza ją po raz pierwszy, ale witany jest, jak zwierzchnik od dawna znajomy. Jego osoba, twarz, sposób bycia, są dobrze znane żołnierzom polskim ze Wschodu. Obecny Wódz Naczelny nie jest dla nich postacią nową. Zbyt silnie nazwisko jego związane jest z armią polską od lat trzydziestu, zbyt wiele żołnierzy wie o nim. To też kontakt nawiązuje się łatwo i szybko. Ot, jakby starzy, dobrzy znajomi spotkali się znowu, po długiej rozłące. Jest o czym porozmawiać i co wspominać . . . To też pobyt generała Sosnkowskiego wśród Armii polskiej na Wschodzie ma w sobie coś rodzinnego i dziwnie serdecznego.

Obecna wizyta Naczelnego Wodza ma poza tym specjalne znaczenie, jakiego nie posiadały żadne dotychczasowe odwiedziny tego rodzaju. Generał Sosnkowski przybył, aby wyprawić armię na front. Oświadczył to oficerom i żołnierzom zupełnie wyraźnie w swym rozkazie dziennym. Powiedział im przecież: "Niebawem szeregi wasze staną w ogniu walki." I dodał jeszcze: "Przybyłem do was, aby osobiście odprawić wasze szeregi na tę drogę żołnierską . . ." I sprecyzował nawet wcale dokładnie kierunek marszu, mówiąc: "Pomaszerujecie szlakiem znanym dobrze z dziejów ojczystych." Nie ulega więc wątpliwości, że moment wyruszenia do walki jest bliski. Chwile, jakie przeżywa obecnie Armia polska na Wschodzie, są zatem wielkie i przełomowe.

Od dawna już Dywizja Kresowa gotowała się do tegorocznego Święta Niepodległości. Pamiętny miał to być dzień w życiu dywizji, albowiem w dniu tym otrzymać miała sztandar, dar polskiego wychodźstwa w Palestynie. Wiedział również każdy żołnierz dywizji, że przy uroczystości obecny będzie Wódz Naczelny.

W swym pięknym wierszu o Wacławie Rzewuskim Juliusz Słowacki, opisując wędrówki polskiego bohatera po pustyniach i oazach Bliskiego Wschodu, opowiadał nam, że "koń jego arabski był biały, bez skazy. Po trzykroć na nim przejeżdżał step Gazy . . ." Czy przypuszczał poeta, że w sto lat później, w ślad za Rzewuskim, tysiączne zastępy polskich żołnierzy przemierzały ten sam step? Czy dostrzegał w swej wizji korowody potężnych polskich maszyn wojennych, które zastąpiły białego, arabskiego konia emirowego? . . .

Uporczywie powracały mi na myśl strofy Słowackiego, gdy spoglądałem na olbrzymi czworobok dywizji Kresowej, ustawiony tam właśnie, kędy przebiegał emir Rzewuski. W długich, idealnie równych szeregach ustawili się żołnierze [illegible]ewa. W słońcu błyszczą bagnety, na głowach — hełmy stalowe. Opodal, przy ołtarzu polowym, ubranym w polskie, brytyjskie i amerykańskie barwy, działa przeciwlotnicze wyciągają ku niebu swe smukłe, ciekawe szyje. Ołtarz ustawiony jest między czołgami i działami polowymi. Na błoniu ustawiły się liczne delegacje wychodźcze, przybyłe specjalnie z Jerozolimy, Tel Avivu i innych ośrodków polskich w Palestynie. Są przedstawiciele władz cywilnych, jest około trzydziestu zagranicznych dziennikarzy. Stawiła się oczywiście, cała generalicja i mnóstwo wyższych oficerów sztabowych.

Już wczesnym rankiem wiadomo, że Wódz Naczelny, niestety, nie przybędzie. Nieprzewidziane okoliczności opóźniły jego przyjazd o parę dni. Program uroczystości nie ulegnie jednak żadnej zmianie. Rozpocznie się ona za chwilę. Oto przed ołtarzem grupują się członkowie komitetu uchodźczego, który ufundował sztandar. Dołącza się do nich generalicja, dostojnicy cywilni, delegacje. Widać też i sam sztandar. Na białym tle czerwony krzyż "Virtuti," Orzeł i nazwy: Tockoje, Tatiszczewo, Lwów i Wilno. Oto jest generał Anders. Samochodem objeżdża skamieniałe, zastygłe w bezruchu szeregi. Patrzy żołnierzom w oczy. Orkiestry grają hymn. Dowódca A.P.W. powraca przed ołtarz, gdzie zaczyna się nabożeństwo.

Poświęcenia sztandaru nie będzie, gdyż odbyło się ono już w przeddzień, u Grobu Zbawiciela, w Jerozolimie. Po nabożeństwie i krótkim kazaniu prezes Komitetu Uchodźców, p. Godlewski, bierze sztandar do ręki i ofiarowując go generałowi Andersowi, wygłasza gorące przemówienie, w którym daje wyraz miłości uchodźstwa dla armii i jego niezachwianej wierze w naszego żołnierza.

Dowódca A.P.W. odbiera sztandar z rąk p. Godlewskiego i odpowiada mu kilku zwięzłymi, żołnierskimi zdaniami. Jak na ekranie, przewijają się w słowach generała Andersa wszystkie cierpienia i trudności, które były udziałem żołnierzy "Kresowej," zanim osiągnęła ona swe obecne stadium. Generał mówi o tych tysiącach ludzi w łachmanach, chorych, padających z osłabienia, głodnych Polakach, którzy wiedzeni niezachwianą wiarą i miłością Ojczyzny, szli przez tundry i lasy bezkresnej Rosji, aby dotrzeć do owej ziemi obiecanej, jaką stanowiły dla nich obozy formującej się armii polskiej. Któż poznałby dziś tych nędzarzy w świetnych, bitnych, znakomicie przezentujących się żołnierzach "Kresowej"? Generał Anders zapewnia polskie rzesze uchodźcze, że wojsko zdaje sobie w pełni sprawę z odpowiedzialności, jaka związana jest z otrzymanym obecnie sztandarem. Kresowa będzie strzec go, jak oka w głowie, i postara się okryć go nieśmiertelną chwałą. Potem Dowódca armii wręcza sztandar dowódcy dywizji, płk. S.

Z ustawionej przy asfaltowej szosie, udekorowanej barwami alianckimi trybuny odbiera następnie Dowódca A.P.W. defiladę dywizji. Idealnie równym, sprężystym krokiem, karnie i pięknie maszerują oddziały. Defilada trwa ponad godzinę. Prócz "Kresowej," defilują delegacje innych wielkich jednostek armii, z oddziałem Dywizji Strzelców Karpackich na czele. Przed oddziałem tym — sztandar dywizji, okryty chwałą bitew pod Tobrukiem, Gazalą i na pustyni Libijskiej. Idą kadeci, junacy, ochotniczki P.W.S.K. Wojsko witane jest salwami oklasków i burzą wiwatów. Polska ludność Palestyny raduje się swą armią.

Tego samego dnia, na terenie m.p., nastąpiło otwarcie wystawy, mającej zobrazować dzieje jednej z b. dywizji A.P.W., obecnie już rozwiązanej i wchodzącej w skład innych formacji. Serie doskonałych, wymownych fotografii ilustrują historię dywizji w Rosji, Iranie i Iraku. Wstrząsające swym realizmem zdjęcia przypominają, jak wyglądał żołnierz polski w chwili przybycia do obozu w Tockoje i jak żył potem. Czego nie potrafią powiedzieć fotografie, to uzupełnia szereg tablic i wykresów. Wzruszające są liczne pamiątki z niewoli: obrazy Matki Boskiej i krzyżyki, rzeźbione w drzewie, kości i metalu, rysunki, wiersze. Wielka tablica podaje etapy dotychczasowej drogi żołnierza oraz ilości przebytych kilometrów: koleją — 2,560, morzem — 360, samochodami — 2.916. A to przecież dopiero droga do Khanakinu, w Iraku. Trzeba już dodać do niej przestrzeń Irak — Palestyna, a niebawem dojdą niezawodnie nowe etapy. Żołnierz polski czasu drugiej wojny światowej pobije niewątpliwie wszystkie rekordy wędrowne.



Naczelny Wódz w rozmowie z Junakiem

W dwa dni później przybył do Palestyny Naczelny Wódz. Wylądował na jednym z tutejszych lotnisk, urzekających, jak wszystko w tym kraju, swą dźwięczną, biblijną nazwą. Oczekiwał go tu Dowódca A.P.W. w otoczeniu licznego grona wyższych oficerów, przedstawicieli armii brytyjskiej i polskich władz cywilnych. Ustawił się na lotnisku jeden z pułków ułańskich ze sztandarem. Przybyli też licznie stacjonowani tu lotnicy brytyjscy. Po odbyciu przeglądu szeregów ułańskich, generał Anders oświadczył im, że zaszczyt powitania Naczelnego Wodza przypadł pułkowi w nagrodę za jego ciężką, ofiarną pracę.

Wreszcie uderzenie gongu oznajmia pojawienie się samolotu. Jakoż wnet ukazuje się on oczom obecnych, kołuje dłuższy czas nad lotniskiem i w końcu ląduje. Jest to samolot polski; nazywa się "Duch Lwowa." W chwili, gdy kończy swój bieg po lotnisku i przystaje, orkiestra gra hymn narodowy, ułani — prezentują broń. Z drzwiczek samolotu wysiada Wódz Naczelny. Za nim — inspektor lotnictwa płk. Iżycki i paru innych oficerów.

Przypomina się podobny moment sprzed paru miesięcy, gdy z samolotu wysiadał w Kairze ś.p. generał Sikorski. Tak samo, jak wówczas, generał Anders podchodzi do Naczelnego Wodza i składa raport. Generał Sosnkowski wita się ciepło i serdecznie z obecnymi. Poznaje wśród nich wielu dawnych znajomych, których nie widział od 1939 roku. Głowa Naczelnego Wodza posrebrzała mocno od tego czasu, ale twarz jest młoda, czerstwa, opalona. Wysoki, pochylony nieco, odziany w zielonkawego koloru mundur, staje wśród dowódców i przyjmuje piękną defiladę ułańską. Przypominają mu się może te czasy, gdy konno defilowały przed nim w Polsce pyszne pułki ułańskie. Dziś koni nie ma, zastąpiły je motory, a przed Naczelnym Wodzem ułani defilują pieszo, z bagnetem na karabinach.

Następny dzień po przybyciu Naczelny Wódz spędził wśród oddziałów Dywizji Strzelców Karpackich. Chciał zapoznać się z żołnierzami tej jednostki, z której wielu okryło taką chwałą imię żołnierza polskiego pod Tobrukiem,



Gazalą i na Libijskiej pustyni. I znowu ustawił się na błoniu olbrzymi czworobok żołnierski. Tylko że przed trzema dniami była to "Kresowa," dziś zaś jest "Karpacka." Znowu ustawiono ołtarz polowy, ustrojony w barwy polskie, brytyjskie i Stanów Zjednoczonych. Znowu, obok "Karpackiej," stanęły delegacje innych wielkich jednostek A.P.W. m.in. oddział "Kresowej."

Mijają chwile naprężonego oczekiwania. Dowódca dywizji, generał D., dokonuje przeglądu szeregów. Bacznie spogląda na żołnierzy. Chciałby zaprezentować ich jak najkorzystniej Naczelnemu Wodzowi. O godzinie dziesiątej przybywa generał Sosnkowski w towarzystwie dowódcy A.P.W. generała Andersa, ministra dla spraw Śr. Wschodu Strasburgera oraz świty. Dowódca "Karpackiej" składa raport, poczem wraz z Naczelnym Wodzem wsiada na wóz pancerny, aby dokonać przeglądu oddziałów. Żołnierze prezentują broń. Wóz posuwa się bardzo powoli. Naczelny Wódz bacznie, z uwagą przypatruje się oddziałom. Widzi je przecież po raz pierwszy.

Po nabożeństwie i kazaniu generał Anders wita Naczelnego Wodza w imieniu Armii polskiej na Wschodzie. Podkreśla, że w armii tej reprezentowane są wszystkie dzielnice Polski. Daje wyraz radości armii, witającej w generale Sosnkowskim człowieka, który obok Wielkiego Marszałka był zawsze symbolem walki o niepodległość. Przypomina, że olbrzymia większość oficerów i żołnierzy A.P.W. służyła w takim czy innym czasie pod rozkazami Generała. Mowę swą dowódca A.P.W. zakończył okrzykiem na cześć Naczelnego Wodza.

Na trybunę wchodzi teraz generał Sosnkowski. Przed nim pulpit i mikrofon. Potężne megafony roznoszą po błoniu przemówienie jego, w którym każde niemal zdanie jest doniosłe i ważkie. Generał rozpoczyna od przekazania armii pozdrowień od Prezydenta Rzeczypospolitej. Mówi dalej o cierpieniach i walce Narodu w Kraju. Wspominając o stosunkach z Sowietami, podkreśla, że decyzja podjęcia stosunków z Z.S.R.R. była "wyrazem rozumu państwowego, myśli o przyszłości . . ." Przypomina, że "utrzymywaliśmy z Rosją stosunki dyplomatyczne, handlowe i kulturalne w dobie, kiedy wiele państw zachodnich nie miało z nią żadnych stosunków." Stwierdza, że "odrzucaliśmy oferty wspólnego marszu na Rosję." "Polacy" — podkreśla z mocą — "nie chcą jednak za żadną cenę pogodzić się z perspektywą rozbioru jednego z sojuszników na rzecz drugiego."

Gorącymi słowy nawołuje Naczelny Wódz żołnierzy do jedności. Mówi dalej o prawach i obowiązkach rządu i armii. "Mamy na szczęście" — powiada — "prawowity rząd Rzeczypospolitej i legalne władze państwowe . . . Głowa Państwa, Rząd Polski, Polskie Siły Zbrojne stanowią zwartą jedność na trudnym szlaku, wiodącym do Ojczyzny. Rząd wskazuje drogi, a wojsko kroczy po nich miarowym i karnym krokiem." Zapewnieniem niezłomnej wierności dla Sojuszników i wiary w ostateczne zwycięstwo, zakończył Naczelny Wódz swe piękne, głębokie przemówienie. Tysiące żołnierzy, ustawionych na błoniu, słuchało go z zapartym oddechem, zdając sobie dobrze sprawę, że słyszą oto wielką mowę programową i historyczną.

Po skończonym przemówieniu Naczelny Wódz odebrał defiladę. Długo maszerowały przed nim oddziały "Karpackiej," "Kresowej," pancerniacy, podchorążowie, kadeci, ochotniczki z P.W.S.K. Naczelny Wódz patrzał na to piękne wojsko, cudem z niczego stworzone, i uśmiechał się. Był najwidoczniej zadowolony z postawy swych żołnierzy. I gdy odjechał zaraz potem do Jerozolimy, aby pomodlić się u Grobu Zbawiciela, pragnął podziękować Mu zapewne za cudowne odrodzenie tej armii i prosić Go o błogosławieństwo dla niej na drogę.

Noc jeszcze była, gdy wraz z kilkunastu zaproszonymi przedstawicielami prasy zagranicznej wyjeżdżaliśmy na zapowiedziane ćwiczenia artyleryjskie przed Naczelnym Wodzem. Jechaliśmy dobrych parę godzin. Już za dnia dotarliśmy do miejsca, w którym odbyć się miało strzelanie. Ujrzeliśmy przed sobą rozległą, piaszczystą równinę, falującą niewysokimi wzgórzami. Wszędzie dokoła piasek i kamienie. Całkowite, rozpaczliwe pustkowie.

Wśród takiej dekoracji odbyć się mają dzisiejsze wielkie ćwiczenia artylerii A.P.W. A będą one czymś zupełnie niezwykłym i dotychczas na Wschodzie, przynajmniej w takiej skali, niewidzianym. Wziąć w nich ma udział szereg jednostek artyleryjskich i setki dział, strzelanie zaś ma być ostre, prawdziwymi nabojami. Będzie to już zatem coś znacznie więcej, niż zwykłe manewry. Złudzenie nowoczesnej bitwy powinno być zupełne.

W miarę jak zbliżamy się do miejsca ćwiczeń, mnożą się oznaki, pełne treści i swoistej wymowy. Coraz to z piasku lub z poza kamuflażu wychyla się smukła szyja działa. Wszystkie samochody /a spotykamy ich w terenie mnóstwo/, punkty łączności, posterunki — są również zamaskowane. Artyleria A.P.W. ukryła się tak świetnie, tak starannie zaczaiła się w terenie, że po prostu trudno ją dostrzec.

Równina piaszczysta, na której odbyć się mają ćwiczenia, obramowana jest z dwóch stron wzgórzami. Z jednej jest ich łańcuch, i one właśnie stanowić mają obiekt dzisiejszego natarcia piechoty. Z drugiej — są dwa wzniesienia, jedno niższe, bliższe równiny, skąd ćwiczeniom przypatrywać się będzie Wódz Naczelny ze swym otoczeniem, drugie — nieco wyższe i położone o kilkadziesiąt metrów za pierwszym, gdzie wyznaczono miejsca dla przedstawicieli prasy i licznego grona oficerów różnych rodzajów broni. Na pierwszym wzgórzu oceniać się będzie wynik ćwiczeń czysto fachowo, po wojskowemu. Na drugim powstaną opisy, mniej lub bardziej literackie i ścisłe, które nazajutrz płachty dzienników rozniosą na szeroki świat.

Już wczesnym rankiem, jeszcze przed przybyciem Naczelnego Wodza, obserwujemy próbne wstrzeliwanie się artylerii. Przeprowadzane ono jest już ostrymi nabojami. Widok u naszych stóp jest wspaniały. Całą równinę piaszczystą i ciągnące się za nią wzgórza, które mają być celem natarcia piechoty, widać jak na dłoni. Artyleria w bardzo wielkiej sile utworzyć ma zaporę ogniową przed nacierającą piechotą. Na równinie już teraz coraz to wykwitają pióropusze dymów od wybuchających pocisków. Co chwila huk dział rozrywa powietrze. Nie jest to jednak jeszcze właściwa akcja i daleko jej do tego, co niebawem zobaczymy i usłyszymy.

Przed godziną dziesiątą przybywa Naczelny Wódz w towarzystwie ministra Strasburgera i dowódcy A.P.W. Na pierwszym punkcie obserwacyjnym zgromadziła się generalicja oraz liczne grono wyższych oficerów polskich i brytyjskich. Megafony ogłaszają plan ćwiczeń i objaśniają ich założenie. Dowiadujemy się, że przed paru dniami silny desant nieprzyjacielski wylądował niedaleko od miejsca dzisiejszych ćwiczeń. Natychmiastowa przeciwakcja jednostki naszej piechoty odepchnęła nieprzyjaciela aż do linii wzgórz, które zajmuje obecnie i które mamy przed oczyma. Dzisiejszym zadaniem piechoty naszej będzie zepchnięcie nieprzyjaciela z tych wzgórz. Akcja jej poparta będzie przez zaporę ognia licznych jednostek artylerii. Ogień ich skoncentrowany zostanie na odcinku zaledwie 1.600 mtr., tak, że siła tego ognia powinna być olbrzymia.

Punktualnie o godzinie dziesiątej rozpętuje się dokoła nas prawdziwe piekło. Huk dział, dochodzący ze wszystkich stron i z bardzo nieznacznej odległości, jest potworny. Z trudem tylko słyszymy głosy sąsiadów. Po chwili rozmowy stają się prawie niemożliwe. Na piasczystej równinie wykwitają całe fale dymu, które niebawem zamieniają się w potwornie wielkie, kłębiące się chmury, zasłaniające niemal kompletnie widok na wzgórza.

Między nami a ową chmurą dymu dostrzegamy maleńkie, czarne sylwetki piechurów, posuwających się tyralierą w stronę, gdzie jeszcze nie dawno były wzgórza, obecnie zaś jest już tylko dym i migają błyski wybuchów. Idzie tej piechoty jedna fala za drugą. Uwijają się między czarnymi punkcikami "łaziki" dowództwa i "kariersy." Świst pocisków, przelatujących nad naszymi głowami, stapia się wkrótce w muzykę nieustanną i jednostajną. W rzadkich chwilach, gdy grzmot dział słabnie nieco, słychać ostry, przeciągły terkot karabinów maszynowych, dochodzący z równiny.

Fale piechoty przesuwają się coraz dalej, ku wzgórzom. Gdy osiągają jakiś obiekt, sygnalizują o tym artylerii racami barwnymi. Artyleria odpowiada im i przenosi swój ogień dalej. Nad "pobojowiskiem" coraz to wykwitają race zielone, złociste i czerwone. Kolorowy język bitwy. Artylerzyści muszą być ogromnie czujni i uważni w swej pracy, gdyż strzela się przecież ostrymi pociskami, zapora zaś ognia działowego tworzona jest w bardzo niewielkiej odległości od posuwającej się piechoty.

Piekło trwa ponad godzinę. W końcu huczy nam już w uszach i w głowach, tak, że z trudnością rozróżniamy poszczególne wystrzały i wybuchy. Cała dolina pod naszymi stopami wypełniona jest dymem. Zapora ogniowa przeniosła się już gdzieś daleko, poza wzgórza, tak, że dalszych wybuchów nie możemy już dostrzec nawet w tych rzadkich chwilach, gdy chmury dymu rozpraszają się nieco. Wreszcie strzały milkną . . . Megafony ogłaszają osiągnięcie celów i zakończenie tej fazy ćwiczeń. Niebawem rozpocząć się ma druga faza, w której poszczególne jednostki artyleryjskie wykonywać będą wyznaczone im zadania.

Przechodzimy na pierwszy punkt obserwacyjny, na którym obecny jest Naczelny Wódz. Oznajmiają nam, że pragnie on przywitać się z przedstawicielami prasy i powiedzieć im parę słów. Wszyscy dziennikarze są pod potężnym wrażeniem wielkiego widowiska batalistycznego, które dopiero co zostało zakończone. Są jeszcze wciąż nieco oszołomieni, w uszach huczy, ale ożywione komentarze krążą z ust do ust. Brać dziennikarska podkreśla w tych rozmowach doskonałą organizację ćwiczeń i niezwykłą precyzję potężnego ognia. Rozmawiamy z generalnym inspektorem lotnictwa, płk. Iżyckim, z lotnikami, którzy przywieźli Naczelnego Wodza, a wśród których nie brak asów nad asy, weteranów "tysiącsamolotowych" lotów na Essen i Kolonię. Jest też wśród nich kpt. B., jeden z przedwojennych rekordzistów lotów cywilnych, który przez długi czas latał na trasie Warszawa — Lydda. Lotnicy opowiadają dziennikarzom o swych przeżyciach.

Wreszcie podchodzi do nas Naczelny Wódz w towarzystwie generała Andersa. Wita się z każdym z dziennikarzy i w paru słowach wyraża swe zadowolenie z przebiegu dzisiejszych ćwiczeń. Podkreśla, że zapora ognia artyleryjskiego dorównywała chwilami w swym natężeniu słynnej zaporze z pod El Alamein. Tłumaczy, jak bardzo ogień taki przyzwyczaja żołnierza do warunków nowoczesnej bitwy.

Po Naczelnym Wodzu zabiera głos generał Anders. Mówi, jak jest szczęśliwy, gdy widzi dziś w tak doskonałej postawie bojowej owych żołnierzy, których w tak ciężkich warunkach zbierał, organizował i ćwiczył przed kilkunastu miesiącami . . . Podkreśla, że najlepszym sprawdzianem ich sprawności jest fakt, że ciężkie i niebezpieczne ćwiczenia dzisiejsze nie pociągnęły za sobą ani jednego wypadku.

Prasa palestyńska ustosunkowała się do ćwiczeń artylerii A.P.W. bardzo pozytywnie. W angielskiej "*Palestine Post*" oraz "*Palestine Illustrated News,*" w hebrajskim "*Haarec*" oraz innych pismach ukazały się obszerne sprawozdania specjalnych wysłanników oraz artykuły. Wszystkie dzienniki podkreśliły niezwykłą sprawność artylerii polskiej i jej doskonałe przygotowanie. Wszystkie z uznaniem wyrażają się o postawie bojowej A.P.W. i znakomitej organizacji ćwiczeń.

Rozjeżdżaliśmy się, pokrzepieni na duchu i bardziej niż kiedykolwiek przekonani o mocy bojowej Armii polskiej na Wschodzie, tej armii, która niebawem pójść ma w bój — po Zwycięstwo.

ROMAN FAJANS

"Spełnimy swój obowiązek." Tymi słowy generał Bronisław Duch zameldował Naczelnemu Wodzowi, generałowi Sosnkowskiemu gotowość Dywizji "Karpackiej" do podjęcia dalszej walki. "Uczynimy to — mówił — co nakazałeś w swym rozkazie. Podamy dłonie naszej Armii Krajowej. Możesz oczekiwać największych od nas wysiłków. Uczynimy wszystko, żeby tym żołnierzom Armii Krajowej, którzy, jak to pięknie w rozkazie powiedziałeś, walczą samotnie i bez rozgłosu — podać ręce."

Te słowa gen. Ducha odzwierciedlają najdokładniej atmosferę, panującą w szeregach Armii Polskiej na Wschodzie. Armia ta, zdala od sporów i rozgrywek politycznych, scementowana najgorętszą wiarą i miłością ojczyzny — dzień po dniu wykuwała swoją gotowość bojową, oczekując rozkazu. Ten historyczny rozkaz wydany został w dniu 13 listopada 1943 roku.

"Idziecie na nowe boje" — brzmią jego słowa. — "Idąc w bój pamiętajcie, że przeżywamy czasy, które rozstrzygną o losie naszego Narodu i Państwa na długie lata."

Żołnierz polski, gdziekolwiek jest, ze spokojem dziś patrzy w przyszłość. Bo o przyszłości tej nie będą decydowały artykuły i polemiki, przemówienia i dyskusje, ale krwawy i pracowity, żołnierski trud. Tak samo krwawy i pracowity, jak trud żołnierski wojsk sprzymierzonych, u boku których staną obecnie polskie formacje.

Idziemy do nowej walki nie z butelkami benzyny przeciwko czołgom, ale wyposażeni w najbardziej nowoczesną broń, obeznani z nowoczesną wojną. I nie idziemy sami, jak trzeba było iść we Wrześniu.

Na przełomowe chwile obecne, kiedy losy narodów europejskich rozstrzygać się będą na lata i kiedy tylę burz kłębi się nad naszą ziemią, Wódz Naczelny przywiózł Armii Polskiej na Wschodzie nie banalne słowa pokrzepienia i otuchy, ale męską zapowiedź walki.

Wbrew wrogiej nam propagandzie, wbrew złośliwym, tu i ówdzie, głosom prasy — żołnierz polski pójdzie do tej walki z radością, wiedząc, że za wolność ojczyzny, za dom i rodzinę trzeba płacić najwyższą cenę, cenę krwi.

Serca żołnierskie cieszy fakt, że rozkaz podjęcia walki wydany jest przez Wodza-żołnierza, który krwi własnej nie szczędził, na polu bitwy kulom się nie kłaniał, który nie tylko zna smak owoców zwycięstwa, ale i gorycz więziennego chleba. "Nie znam nikogo — powiedział generał Anders do generała Sosnkowskiego — dla którego nie byłbyś autorytetem."

Dlatego każdy żołnierz polski, słuchający w szeregu słów rozkazu z dnia 13 listopada, ufając swoim dowódcom i wspaniałej broni, którą mu powierzono, pragnie tylko jednego: aby w marszu ku wolnej Polsce towarzyszyła mu tak wielka zgoda i jednomyślność narodowa, jaka panuje dziś, w przededniu próby ogniowej, w szeregach żołnierskich.

RYSZARD KIERSNOWSKI



Korpus Kadetów defiluje przed N. Wodzem



Cekaemiści idą naprzód



Ćwiczenia pokazowe współdziałania piechoty z bronią pancerną



Pepance na stanowisku



N. Wódz przed frontem oddziału Szkoły Młodszych Ochotniczek

Z pamiętnika pilota myśliwskiego

1940: Algier*

18 *czerwca.*

Co za bałagan! Wyobrażam sobie jakby taki przelot zorganizowali Niemcy. Każdą grupę prowadziłoby hydro. Z tyłu szłyby hydra ratownicze. Każdy pilot miałby pas ratunkowy i rakiety. Miałby przede wszystkim mapy. A my nic. Busola ma wystarczyć za wszystko. Kilku dostało co prawda niewyraźne fotografie z map. Całe szczęście, że mam mapę Europy kupioną jeszcze w Cambrai. Podziałka jest wprawdzie 1 : 5.000.000, ale lepsza taka, niż żadna. Jakże mi się przydała ta mapa, którą kupowałem kiedyś dla śledzenia na niej wydarzeń wojennych.

Jeszcze wczoraj mówili, że polecimy prosto: Perpignan — Baleary — Algier. Dziś nagle zmienili trasę na Perpignan — Oran. Z 700 kilometrów zrobiło się 900. Boją się Balearów; mówią, że tam mogą być niemieckie lub włoskie dywizjony myśliwskie. Mamy więc zmieniać nasz kurs sześć razy po drodze, omijając najpierw C. de Creus, potem lecąc na Carthagène i stamtąd przecinając morze. Benzyny wystarczy ledwie, ledwie, przy obliczeniach, że polecimy cały czas na optymalnej wysokości, przy optymalnej szybkości 300 klm. /godz. i najmniejszym zużyciu benzyny.

Na kilka godzin przed startem zawiadamiają nas, że całą grupę poprowadzi "Lockhead" na *gonio.* —"Możemy spać w maszynach"— mówi do mnie Dubreuil. Ja jednak zdaję sobie dobrze sprawę z tego, że mój grat jest przegrzany, że źle ciągnie, że pije oliwę i benzynę, jak smok i że w ogóle jest niebardzo wyraźny do takich przelotów. To mnie wcale nie usposabia do spania, raczej przeciwnie wyostrza moją czujność na wszystko. Przymocowałem sobie gumą do uda blok papieru i ołówek. Tu będę w locie robił obliczenia benzyny i czasu.

Mamy lecieć dużą kupą około trzydziestu samolotów. Do zapuszczenia silników jest tylko kilku mechaników. Czekałem z zapuszczonym silnikiem na ziemi około 20 minut, zanim zaskoczył silnik ostatniego samolotu. Startowaliśmy pojedyńczo. Po starcie czekałem w powietrzu znowu kwadrans, zanim cała wyprawa znalazła się nad lotniskiem, przyjęła szyk i kurs 120 stopni. "Lockhead" szedł na czele. Pogoda wspaniała. Lecieliśmy przez sam środek ogromnej, lazurowej kopuły. Pomyślałem, jak daleko jest wojna od tego nieba, słońca i morza.

"Lockhead" zaczął wyraźnie negliżować kurs. Zamiast iść tak, jak było mówione, trzymał się kurczowo brzegów Hiszpanii. Barcelonę mieliśmy minąć 50 kilometrów po prawej, tymczasem mijamy ją w odległości zaledwie 5-ciu kilometrów. Przypomina mi się tango: "Uliczka w Barcelonie." Śpiewała Pilar Arcos z "His Master's Voice." Była to Białoruś i Boże Narodzenie. Za oknami dmuchało śniegiem. Melodia urzekała wtedy. Hiszpania to był egzotyzm. A teraz Hiszpania pode mną, jak na dłoni. Żółte góry, wąwozy, winnice. Za to Białoruś jest już dokładnie na stronie egzotyzmu. To co było kiedyś aż zabardzo swojskie i oklepane, wyrosło teraz do bólu. I już nie zapomni się tego nigdy. Już pójdzie wiecznie, jak cień za człowiekiem.

Hiszpania. W razie defektu silnika mamy tam lądować. Obóz internowanych. Przypomina mi to od razu obóz hiszpańskich uchodźców w Issoudun. Ciarki przemknęły po skórze. Niby to się żyje, ale jakoś tak poza życiem, na jego słabiutkiej, rachitycznej odnodze. Żyje się imitacją życia. — "Och, nie! — myślę — Tylko nie to."

Za Tarragoną lazurowa kopuła się spłaszcza, zachodzi bielmem. To chmury. Początkowo są białe, niewinne, lecz wkrótce zaczynają się nalewać sinością i gęstym, spienionym mrokiem. Stoją wprost na naszej drodze. "Lockhead" zaczyna je wymijać. Schodzimy na 3.000 metrów i niżej. Robię obliczenia zużycia benzyny. Słabo, ale gdy zamieniam pozostałą w zbiornikach benzynę na czas, czas na drogę i odkładam to na ołówku, koniec ołówka jeszcze chwyta Oran. Nie wiele, ale chwyta. Lecę wobec tego dalej. Maszyny rysują się jak ledwo widoczne cienie na tle głębokiej, mrocznej poświaty. Burze. "Lockhead" zamiast pruć po kursie idzie sobie gęsią ścieżką. Wygodnicka bestia. Ma benzyny na osiem godzin, więc gwiżdże na wszystko. Klnę na niego w duchu, ale to sprawy nie polepszy.

Szybkość się zmniejszyła przez zejście niżej. Po jakimś kwadransie robię ponowne obliczenia. Pomimo ciemności, orientację mam dobrą, bo idziemy tuż przy samym brzegu Hiszpanii. Tym razem koniec ołówka już nie chwyta Oranu. Decyduję się na powrót. Do wysokości Barcelony ciągnę nad morzem, ale potem nie mam za dużo benzyny obchodzić C. de Creus, więc walę wprost przez Hiszpanię. Co mi zrobią! Ląduję w Perpignan na resztkach benzyny.

21 *czerwca.*

Siedzę już trzy dni w Perpignan, czekając na pogodę. Deszcze i burze bez przerwy. Przyleciał klucz Leblanca z Bordeaux. Na lotnisku stoi około 300 samolotów i ciągle jeszcze nadlatują nowe. Gdyby przyszło bombardowanie, byłaby to generalna próba, jak wygląda dzień ostateczny.

Samo lotnisko miejscami piaszczyste, miejscami mułowate, wybrzeże wzdłuż zalewisk rzecznych. W rzadkich chwilach, gdy nad głową nie warczy żaden samolot, słyszy się gwizd wiatru w ościstych trawach. Jest to gwizd tak przejmujący, jak oddech Afryki, który tu się czuje na każdym kroku. Gwizd zupełnie inny, niż u nas. Melodia, której nie śpiewa swój wiatr z zaplecza, lecz obcy, daleki.

Na lotnisku bałagan. Startował jakiś "Bloch" i zaraz po starcie zwalił się na dwie inne maszyny. Wszystkie trzy paliły się z takim entuzjazmem, jakby właśnie od urodzenia swego tylko na to czekały. Murzyny wojskowe, które tu są użyte za wartowników zapomniały o mundurach na karku i darły się wspaniałym głosem pracywilizacji. Niefortunnego pilota, którego wyrzuciło z samolotu zapakowali do sanitarki i odwieźli. Myślałem, że wprost do trupiarni. Tymczasem nic mu nie jest.

Algier 22 czerwca.

Nie wiem, czy mój powrót i meldunek u generała, czy jakieś inne wypadki sprawiły to, że dziś polecieliśmy prosto: Perpignan — Algier, omijając tylko C. de Creus. Do Balearów były lekkie chmury, potem szampańska pogoda. Na całej przestrzeni ani jednego statku. Morze wyglądało tak sennie i łagodnie, że aż korciło wysiąść z samolotu i pokąpać się. Przeszliśmy w połowie odległości pomiędzy Majorką a Minorką. Pomyślałem o George Sand i o Szopenie i tak się zaczepiło myślami znowu o Polskę. Zboża muszą falować tam teraz, a wiatr przegania się po ich czubach wełnistymi kłębami.

Wyszliśmy na wschód od Algieru i dociągaliśmy potem. Oglądam ziemię z wysokości tysiąca metrów. Więc to Afryka. Żółte, brunatne skały, rzeczki o wyschniętych łożyskach, góry. Po wylądowaniu, zanim przyrolowałem pod hangar, który mi wskazano i zdjąłem kombinezon, byłem cały mokry od potu. Nad ziemią stało piekielne słońce, dalekie góry tonęły w ołowianych mgłach. Żar płynął z nieba i obezwładniał życie.

Spotkałem w kasynie dużo kolegów. Niektórzy przelecieli tak, jak i ja morze, inni byli tu na szkoleniu. Ci ostatni śmieją się z nas nowoprzybyłych. "To się nazywa upał! Ależ to jest wcale przewiewnie i znośnie. Niechno tu tak przyjdzie *sirocco*!

Nie wszyscy przelatują szczęśliwie. Zantara i Darteveil z mojego dywizjonu lądowali na plaży z braku benzyny. Podporucznik Bury-Burzyński wodował pół kilometra od brzegu, a ponieważ samolot trzymał się jeszcze parę minut na wodzie, więc pilot rozebrał się i w kalesonach dopłynął do lądu. Dwóch pilotów francuskich na "Moranach" utonęło, nie mogąc dociągnąć. Codziennie przylatuje mnóstwo maszyn. Nie mogę zrozumieć, jak można było robić pokój z taką masą sprzętu i z takim obszarem kolonii. Opowiadają, że ostatnio w Tuluzie wypróbowano nowy model "Devoitina" o szybkości 700 klm. /godz. Podobno cudo. Jota w jotę ta sama historia, co u nas w Polsce z "Jastrzębiem." Rekwizyt przybył, gdy przedstawienie się skończyło.

24 *czerwca.*

Francuzi się cieszą, że jest rozejm. Mało kto się przejmuje. Co za szczęście, że Anglia chce walczyć nadal. Musi to być naprawdę wielki naród. Generał Sikorski jest już w Wielkiej Brytanii i zwołuje wszystkich Polaków. Pojedziemy więc prawdopodobnie tam, ale na razie jeszcze nie ma ścisłych rozkazów, bo chodzą słuchy, że kolonie będą walczyć dalej i nie uznają "*armistice*." Pobieramy więc na razie hełmy tropikalne, namioty, manierki, całe wyekwipowanie kolonialne. Przebąkują, że pchną nas do Tunisu przeciwko Włochom.

Algier. Mówią, że jest to małe Rio de Janeiro. Morze weszło zatoką w ląd, a miasto wyrosło amfiteatralnie dokoła zatoki. Wieczorami włóczę się po mieście, a dnie spędzam na plaży. Życie tanie. Masy wspaniałych owoców za bezcen. Dzielnica europejska błyszcząca bogactwem, białą architekturą na tle wystrzelających w górę palm i dzielnica arabska — Casba — labirynt zaułków i lochów. Przejścia pomiędzy domami, jak rozpadliny skalne, pospinane przerzutami łuków. Plamy słońca oślepiające i nagie leżą obok najgłębszego, zaczajonego mroku bez żadnych półtonów. Same kontrasty.

Lotnisko w Maison Blanche pęcznieje od samolotów, wobec tego każą nam się przenosić na pole o 15 kilometrów stąd na wschód. Jest to ściernisko. Siada się na nim miękko i cicho, tylko podczas rolowania, za ogonem samolotu podnosi się taki tuman kurzu, jakby sto dymnych świec złożyli na kupę i zapalili.

Wtedy właśnie nadchodzi oficjalny rozkaz władz polskich nakazujący wszystkim Polakom w Algierze udać się do Casablanki, gdzie już Anglicy mają nas wziąć w swoją opiekę. — "A wy?" — pytam się Francuzów. — "*Sze pa*" — odpowiadają. Tak odpowiadali zawsze podczas wojny. Jest to ich stereotypowa odpowiedź. Niektórzy mówią, co prawda, że pójdą również za nami do Anglii, by walczyć dalej, ale mówią to bez przekonania.

Na noc jedziemy do Algieru, bo tam jesteśmy zakwaterowani w hotelach. Już jutro tu nie wrócę, będę tylko w Maison Blanche, żeby załatwić ostatnie sprawy wyjazdowe. Wyciągam więc ze swego grata kilka drobiazgów. "Curtiss" ma duży, luksusowy bagażnik. Teraz żałuję, że nie wziąłem poza neseserem nic ze swoich rzeczy. Mam przeczucie, że zginą. Spadochron, kombinezon, cały ekwipunek lotniczy zostaje. Zabieram tylko swoją pięciomilionówkę Europy, według której ostatnio niezgorzej mi się latało. To będzie pamiątka. Potem odchodzę na kilka kroków od grata, patrzę na zwartą, mocną sylwetkę, tak jakbym ją dojrzał po raz pierwszy i widzę to wszystko, cośmy razem, wspólnie przeszli: Sommę i Soissons i Reims i Château Thierry i Marnę i całą Francję wzdłuż naszej nieodwróconej wędrówki z północy na południe, Francję dymiącą od pożarów z zakneblowanymi od uchodźców drogami.

—"Czekamy na pana" — woła Dubreuil od samochodu.

Idę już, idę ale niechętnie i markotnie. Usiadłbym teraz na tym spieczonym ściernisku, oparłszy się o kadłub mego "Curtissa," tak jak siadywałem setki razy na lotniskach we Francji i posiedziałbym chwilkę. Zdaje mi się, że jestem winien to jemu, który mnie przeniósł przez tyle dróg, tyle szlaków, przez morze. Nie było jednak czasu na sentymenty. — "Żegnaj stary!" — pomyślałem. I tym bardziej było przykro odchodzić, że to ściernisko było tak podobne do ściernisk w Polsce.

25 *czerwca.*

Rano zebraliśmy się, wszyscy Polacy, na lotnisku w Maison Blanche. Jakiś generał z lotnictwa francuskiego miał do nas przemowę. Dziękował nam za służbę w jednostkach francuskich i powiedział, że jesteśmy już wolni, by postąpić według własnego uznania. — "Prawdopodobnie zechcecie udać się do Anglii, by walczyć nadal. — mówił — Jesteśmy w obowiązku ułatwić wam każdy krok, zanim opuścicie ten kraj. We wszystkich więc trudnościach proszę zwracać się śmiało do władz francuskich o pomoc. Gdyby jednak ktoś z was chciał nadal zostać w lotnictwie francuskim, daję gwarancję, że będzie traktowany tak jak i dotychczas, to jest na równych prawach z Francuzami."

Rzeczywiście nie mieliśmy słów uznania dla rycerskości Francuzów. Na każdym kroku spotykało nas tyle sympatii i pomocy, że aż stawało się to żenujące.

Wieczorem mój dywizjon wydał dla mnie i Zantary kolację pożegnalną. Była bardzo wystawna, ale cicha i smutna. Gdy siedziałem przy stole i patrzyłem na swych współtowarzyszy, przypominało mi to nasze biesiady, z byle jakiej okazji, w Cambrai. Było to zaledwie dwa miesiące temu, lecz zdaje się, że to minął wiek. Iluż z tych, którzy wtedy siedzieli tak samo, jak siedzimy teraz, którzy śpiewali i śmieli się, należy już do prochów. Dowódca podobno walczy w szpitalu ze śmiercią. Rougevin zastępuje go teraz jako najstarszy. — "Mój drogi kapitanie — rzekł pod koniec kolacji odpowiadając na moje krótkie przemówienie — Gdy trzy miesiące temu przyleciałem do Lyonu, by was Polaków zaprowadzić do naszego dywizjonu, miałem nadzieję, że tak samo zaprowadzę was do Polski. Dziś . . . "Urwał, wzruszenie pozbawiło go zupełnie głosu, łzy wybiegły na twarz. Drżącą ręką podniósł kieliszek z winem — "*Vive la Pologne*" — wykrztusił.

26 *czerwca.*

Zaszedłem do jednego z barów na głównej ulicy Algieru, żeby wypić Duboneta. Jakiś starszy pan stojący obok mnie oświadczył z miejsca i kategorycznie, że nie pozwoli mi zapłacić i rzucił monetę barmanowi. Kelner tańczył przed jegomościem z szacunkiem, którego mi brakło. Właśnie miałem powiedzieć, że jestem przyzwyczajony płacić sam za siebie, gdy tamten nie dał mi dojść do głosu. Koniec każdego zdania wiązał się z początkiem następnego.

—"Jestem obecnie przemysłowcem. Wie pan? Businessman. Ale w wielkiej wojnie byłem w okopach. Flandria. Dwukrotnie ranny. Głowa i to. — Na lewej dłoni brak jednego palca. — Mam tę samą wstążeczkę — dotyka mojej piersi. — Miałem w swojej kompanii kilku Polaków. Bardzo dzielni chłopcy. My zawsze z wami. *A votre santé.*"

Po tym wszystkim już nic nie mogę powiedzieć i piję *aperitif*. Jegomość zresztą wygląda lepiej, niż na pierwszy rzut oka. Zaczyna mówić o Francji obecnej z przejęciem i urazą. Ton głosu żarliwy, wpadający w ferwor, skłonny do patosu. Czerstwe, rumiane policzki, lekka siwizna, zadowolenie z życia. Jowialny, rubaszny "*bon vivant.*"

Gawędzimy czas jakiś — "Gdzie pan był we Francji?" — "Zacząłem od Cambrai" — odpowiadam. — "Cambrai!" — sięgnął do wspomnień. Przechodził tyle razy przez to miasto. Znał doskonale tamte okolice. W toku swego monologu zerknął na zegarek: — "Ma pan trochę czasu wolnego?" — "Mam cały dzień." Zaprosił mnie na obiad do siebie. Było to dla mnie urozmaicenie. Skorzystałem z zaproszenia.

Płyniemy "Citroenem" w dzielnicę willową. Pniemy się serpentyną w górę. Algier z zatoką jak na dłoni. Nieprzeczuty, niezapomniany widok, dający lekki zawrót głowy z nadmiaru pogody i piękna. Wszystko zalane słońcem, tchnące szczęściem. Na zakrętach morze i miasto znika. Znika, lecz pojawia się znowu w coraz szerszym objęciu oczu. Miasto, port i morze odchodzą coraz bardziej w dół. Jesteśmy na szczycie wzgórz, otaczających Algier z południa i zachodu. Domy — cacka. Oszałamiające bogactwo kwiatów. Palmy. Bujność zieleni. Rozrzutność barw. Przeważa purpura i fiolet. Zatrzymujemy się przed willą przylepioną jak gniazdo jaskółcze do skały. Bluszcz i powoje płyną w dół po urwistych głazach zielonym wodospadem. W hallu łagodne cienie przeplatają się z zielonym półświatłem. Na froncie duże akwarium. Żaglowiec z bursztynu. Perskie dywany. Globus, służący do upiększenia. Cisza i zbytek. Murzyn w białym smokingu, jak negatyw Europejczyka, przyrządza *aperitiwy.*

Jemy obiad w pergoli — tylko mój gospodarz i ja. — "Dwóch synów zostawiłem we Francji. Jeden studiował prawo, drugi: porucznik artylerii, żona z córką teraz u znajomych na prowincji 150 kilometrów od Algieru. Od czasu, gdy Włochy wydały nam wojnę i jest możliwość zbombardowania miasta, wielu opuściło Algier."

Murzyn z powagą i przejęciem celebruje obiad. Naczynia, półmiski, talerze stawia bez najmniejszego szelestu, jakby rzeczy niematerialne. Kawior mrożony, *salade Algerienne*, doskonałe reńskie, jakieś mięsiwa, sery, przynajmniej tuzin gatunków owoców, szampan. — "Co, nie pali pan cygar?" Nie palę, ale lubię woń doskonałego hawanna. Jak dobrze wgłębić się w tę atmosferę smaku i zbytku po tym wszystkim co człowiek przeszedł.

—"Co będzie teraz z wami, z Francją?" — pytam. Sympatyczny jowialny pan znika. Przemawia stary żołnierz. Wali pięścią w stół. — "Nasz rząd, który robi pertraktacje z Hitlerem, to nie Francja. Francja, to my — bije się w piersi. — To nasze kolonie, nasza marynarka i lotnictwo. Ręczę panu, że cała marynarka francuska dołączy teraz do Anglików, a prawdziwa Francja wyemigruje tu i będzie walczyć dalej. Zniszczymy raz na zawsze to germańskie zwierzę" — kończy z pasją.

Przypomina mi się zapewnienie gazet, iż oddzielny pokój nigdy nie zostanie zawarty. Być może na mojej twarzy odbiło się powątpiewanie, bo gospodarz jakby się poczuł z lekka urażony. — "Proszę sobie wyobrazić, że jest pan dowódcą floty. Kilkadziesiąt lat pływał pan pod ojczystą banderą. Teraz gdyby wydano flotę Niemcom, na wszystkich okrętach powiewałaby swastyka. — Zasłonił dłonią oczy. — Takiej hańby nie zmyłoby już potem żadne bohaterstwo, ani żadna śmierć. Pan mało zna nas, Francuzów — ciągnął już ciszej. — Jesteśmy zepsuci przez zbytek, ale gdy to się skończy, odezwie się dobra krew gallijska. Jestem pełen szacunku dla narodu polskiego, ale uderza mnie to i boli, że wy tak mało znacie nas Francuzów. Pan nie jest pierwszy z Polaków, który płaci sceptycyzmem. Poznałem pierwej kilku. Rozumiem wasze rozgoryczenie, ale przecież powinniście mieć o nas lepsze mniemanie z racji wspólnej kultury łacińskiej, z racji historii."

Wycofuję się powoli z tego tematu, bo gospodarz dopowiada sobie, czy się domyśla rzeczy nieistniejących. Dziwię się, że wszystko go tak wstrząsa i wszystko boli, że pod powłoką rubaszności jest tak czuły, po prostu wydelikacony na wszystko co dotyczy Francji.

Rozmowa przechodzi na tematy potoczne. — "Rozumiem zmęczenie pana" — ciągnie gospodarz. Zrozumiałem, że ma na myśli zdenerwowanie. To mnie ubawiło. Myślę to samo o nim, co on o mnie. Ciekawe, kto z nas jest bliżej prawdy. — "No, ale teraz w Algierze pan wypocznie. Poznam pana z miłym towarzystwem; są tam ładne kobiety. Pojedzie pan z nimi na plażę. Za tydzień nikt pana nie pozna, tak się pan zmieni."

—"Przykro mi niezmiernie" — odpowiadam mu i proszę o wybaczenie. — Jest mi naprawdę przykro. Dziś w nocy o drugiej my wszyscy Polacy jedziemy towarowym pociągiem do Casablanki. Będziemy się wlec 5 dób. Potem nas załadują na okręt, jak sardynki do pudełka i powiozą w nieznane. Będziemy się dalej bili. My mamy już we krwi San Domingo i Syberię. Widocznie to już należy do tradycji.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

---

*Por. część pierwszą: "1940: Cambrai" druk. w nr. 42, część drugą: "1940: Beauvais" druk. w nr. 43, część trzecią: "1940: Persanne Beaumont" druk. w nr. 45, część czwartą: "1940: W obronie Paryża" druk. w nr. 46, część piątą: "1940: La Perthe" druk. w nr. 48, część szóstą: "1940: Auxerre, Issoudun" druk. w nr. 48 "Polski Walczącej" z b.r.

Rozmaitości wojskowe

HOROSKOPY WOJENNE

Podobno na londyńskiej giełdzie zakłady stoją 4 : 1 za tym, że wojna skończy się przed Bożym Narodzeniem. "Rozmaitości wojskowe" nie mają zamiaru zmienić nazwy na: "horoskopy wojenne," jednak są w tej pogłosce pewne przesłanki, które i nas mogą zainteresować.

Faktem jest, że coraz więcej ludzi poważnych wierzy w bardzo szybkie zakończenie wojny. Wojny w Europie, rzecz jasna! Fantastyczna jeszcze półtora roku temu teoria majora Severskyego — "*Victory through Air Power*" — przestaje mieć dla wielu ludzi cechę nieprawdopodobieństwa.

Takie szybkie zwycięstwo miałoby dwa następstwa: 1/ Anglo-Sasi wygraliby wojnę "tanio" t.zn. weszliby w okres powojenny z olbrzymią niezużytą i niezmęczoną siłą militarną; 2/ sprawa utrwalenia pokoju przez stworzenie międzynarodowej policji lotniczej, zostałaby postawiona na solidnej podstawie praktycznego doświadczenia. Jeśli można wygrać wojnę z powietrza, to przy odrobinie energii i współpracy międzynarodowej można utrzymać pokój. Zagadnienie powojennej okupacji Niemiec sprowadza się bowiem do stosunkowo łatwej kontroli z powietrza i do utrzymania na peryferiach Niemiec baz lotniczych. Ani sprawa kosztów, ani sprawa armii okupacyjnej nie gra w tym wypadku większej roli.

GENERAŁ ALEXANDER

Generał Sir Harold R. L. G. Alexander jest znowu w "*newsach.*" Postać nie tak fotogeniczna, jak Montgomery /mimo, iż urodą przypomina Johna Barrymore/ ma jednak może nawet więcej, niż Montgomery owych nieuchwytnych wartości, które urabiają wielkiego dowódcę.

Gen. Alexander, który od wrót Egiptu aż pod sam niemal Rzym prowadzi wojska Sprzymierzonych, nie wykazał swych zalet tylko w ataku. Po raz pierwszy usłyszeliśmy o nim pod Dunkierką. Po odwołaniu gen. Lorda Gorta objął on wówczas dowództwo nad ewakuującą się armią brytyjską. Był ostatnim, który zeszedł z piasków Dunkierki. W pewnej chwili — jak opowiada anegdota — podszedł do niego jakiś oficer angielski i powiedział: — "Panie generale, obawiam się że będziemy musieli się poddać." — "Tak" — odrzekł Alexander — "tylko, że nie wiem jak się to robi. Wobec tego się nie poddamy."

Po raz drugi rozbrzmiało jego nazwisko, gdy 5 marca 1942 r. w najbardziej krytycznej chwili stanął na czele wojsk brytyjskich, wycofujących się z Burmy. Gen. Wavell w swej charakterystyce wielkich dowódców /drukowanej w "Polsce Walczącej"/ powiedział, że wielkość dowódcy mierzy się próbą zarówno zwycięstwa, jak i klęski. Gen. Alexander przeszedł obie próby. Przez 4 miesiące, na czele dwu słabych dywizji opierał się trzykrotnej przewadze Japończyków i uratował cztery piąte swej armii.

Oszałamiająca seria sukcesów w Afryce, na Sycylii i we Włoszech każe się spodziewać, że nazwisko gen. Alexandra usłyszymy jeszcze niejednokrotnie.

CZY NIEMCY MOGĄ SIĘ ZREWANŻOWAĆ ZA BERLIN?

Bomby lecące na Berlin, Lipsk, Stutgart, Bremę, Hamburg i inne miasta niemieckie wywołują ze strony niemieckiej oprócz okrzyków przerażenia także nieprzytomne pogróżki. Co jest na rzeczy? Jakie są możliwości rewanżu? Sprawę tę omawia korespondent "*Observera*" w artykule p.t. "*German Plans for Avenging Berlin.*"

"Możemy twierdzić dzisiaj z wszelkim prawdopodobieństwem, że Anglię można zaatakować z powietrza tylko: a/ normalnymi samolotami, b/ samolotami kontrolowanymi przez radio, c/ przez pociski armatnie lub rakiety wystrzelone z Francji."

"Jednak jakikolwiek z tych sposobów Niemcy obiorą, siły Sprzymierzonych — defensywne i ofensywne — będą w stanie się przeciwstawić. Niemcy zdają sobie sprawę ze swej słabości. Wiedzą, że tysiące samolotów znajdują się w Anglii a liczba ich wciąż wzrasta. Wiedzą, że czas pracuje przeciwko nim. "Od marca b.r. setki myśliwców niemieckich przeniesiono z lotnisk będących w zasięgu "Spitfire'ów," na lotniska strategicznie lepiej położone dla obrony samych Niemiec." "Obrona lotnicza Holandii została wprawdzie ostatnio wzmocniona, ale jest wątpliwe, aby było więcej niż 250 myśliwców we Francji a 150 w Holandii."

"Możemy być również przekonani, że Niemcy nie zaprzestali bombardowania Anglii, ze względów humanitarnych, ale dlatego, że "jest wątpliwe, czy posiadają więcej, niż 200 długodystansowych bombowców we Francji, Belgii i Holandii. Gdyby mieli gotowe siły powietrzne miesiąc temu, byliby ich dawno użyli. Użyliby również wszelkich dział, czy rakiet, gdyby je mieli."

Korespondent lotniczy "*Observera*" nie wspomina o jeszcze jednym "problemie" niemieckim, który przekreśla niemieckie nadzieje zemsty. Jest nim problem wyczerpujących się zapasów płynnego paliwa.

"THE END IN AFRICA"

Parę dni temu ukazała się nowa książka Alana Moorehead'a p.t. "*The End in Africa*" /Hamish Hamilton, London, 1943/. Jest to trzecia i najlepsza książka z cyklu jego reportaży opisujących kampanię afrykańską. Poprzednie to: "*Mediterranean Front*" i "*A Year of Battle.*"

"*The End in Africa*" daje ogólny obraz całej kampanii oraz szczegółowe opisy najbardziej charakterystycznych spotkań ostatniej fazy kampanii afrykańskiej, którą Montgomery rozpoczął pod El Alamein a zjednoczone armie anglo-amerykańsko-francuskie zakończyły na Cap Bon.

Bitwa pod El Alamein zastała autora na urlopie w Ameryce, a potem w Anglii. Zdążył on do Afryki dopiero po lądowaniach Sprzymierzonych we francuskiej Afryce Północnej. Ten pobyt w metropoliach państw sprzymierzonych dał autorowi możliwość szerszego rzutu oka na olbrzymie tło wojny, nie mówiąc o bardzo bystrej charakterystyce Anglii, którą Moorehead zobaczył po raz pierwszy od czasów *blitzu* i o wnikliwym ujęciu spraw politycznych, którego trafność jest uderzająca zwłaszcza w świetle obecnego rozwoju wypadków wojennych. Podróż z Anglii do Afryki Północnej dała mu wreszcie sposobność do napisania pięknego reportażu o życiu załogi małej korwety konwojującej okręty z Irlandii do Gibraltaru.

W przekroju poziomym można podzielić książkę na dwie części. Rozważającą i opisową. Obie o nieprzemijającej wartości. Rozbiór wypadków w Algierze jest nacechowany tą typowo angielską, — chciało by się rzec kupiecką — "*shrewness,*" tłumaczącą /bez pochwalania/ ów dziwny interes z Darlanem i niepokojące posunięcia wojskowe pierwszych miesięcy. "Dawano oficjalnie do zrozumienia, że mieliśmy w akcji olbrzymią armię, tysiące czołgów, armat i samolotów. W rzeczywistości tylko 3—4000 ludzi walczyło na froncie, przeważnie bronią małokalibrową i prawie bez osłony lotnictwa."

Najwspanialszą częścią książki jest jednak niewątpliwie jej część opisowa. Obraz ataku nocnego i zdobycia wzgórza Longstop lub opis bitwy czołgów w dolinie El Guettar przejdą na pewno do historii literatury i śmiem je porównać z opisami batalistycznymi Sienkiewicza i Stendhala. Dziennikarstwo wzniosło się tu na wyżyny prawdziwej sztuki.

Z dziennikarskiego punktu widzenia ciekawą jest charakterystyka Montgomery'ego i Ósmej Armii oraz nieprzebrane mnóstwo "*stories*" w najlepszym stylu.

Warto by tę książkę przetłumaczyć na język polski.

LOTNICTWO NA MORZU

Połączenie morza i powietrza, okrętu i samolotu stoi w hierarchii angielskich zainteresowań na pierwszym miejscu. Jest to rzecz zupełnie naturalna. Tradycja morska . . . wiadomo! A lotnictwo przemówiło do ich wyobraźni i do ich żyłki awanturniczej. Nic więc dziwnego, że wydana obecnie przez M.O.I. dla Admiralicji broszura p.t. "*Fleet Air Arm*" — któraś tam w licznej już dzisiaj serii broszur wojennych — jest szczególnie udana.

Począwszy od mało znanego epizodu z sierpnia 1940 r. gdy trzy brytyjskie samoloty typu "Swordfish" zaatakowały i zniszczyły w Bomba Bay /— cóż za złowieszcza nazwa! —/ dwa okręty podwodne, kontrtorpedowiec i "*depotship*"/ wyczyn fantastyczny; nie wierzono raportowi załóg, dopóki fotografie samolotów rozpoznawczych go nie potwierdziły/ — opisuje ta broszura wydarzenia tak barwne i tak pasjonujące, że samo suche ich wyliczanie porywa.

Głównym tłem opisu są rzecz jasna lotniskowce. Ich historia, ich zakres działania. Na siedmiu morzach one stanowią — cóż za paradoks — najbardziej stałą bazę lotniczą sprzymierzonych. Brały udział we większości działań lotniczych na morzu i odegrały w obecnej wojnie zasadniczą rolę. Możliwości ich zaś są jak dotąd niewyczerpane.

Ciekawy jest ustęp poświęcony eskortom powietrznym konwojów. Sprawom mało znanym w czasach, gdy poklask i prasa dostają się bardziej fotogenicznym wyczynom.

Trudno wyliczać bogactwo i obfitość treści. Jednak najbardziej efektowną częścią książki są niewątpliwie fotografie. Fotografie, które napawają zazdrością polskiego propagandystę, redaktora, wydawcę. Treściwe, inteligentne, oryginalne. Zdjęcia, które stanowią klasę dla siebie nawet w tak fotogenicznym temacie, jak morze i powietrze.

ROSYJSKI BLITZKRIEG

Pod powyższym tytułem ukazał się w "*Daily Mail'u*" artykuł Liddell Harta, który stara się dociec sekretu powodzenia ofensywy sowieckiej. "Nieco dziwny wydaje się fakt, że Rosjanie donosząc o starciu z 12-tu dywizjami niemieckimi na odcinku kijowskim i o zupełnym ich pobiciu, stwierdzili równocześnie, że w ciągu tej trzydniowej bitwy i w ciągu dnia po zajęciu Kijowa liczba jeńców wynosiła zaledwie 6000."

Ta liczba każe wnosić, że Niemcy już zawczasu się wycofali, pozostawiając tylko straże tylne dla ochrony odwrotu. Ale dlaczego się wycofali? Szybkość ewakuacji Kijowa uratowała być może armię kijowską, ale zagroziła poważnie siłom niemieckim zgrupowanym bardziej na południu w łuku Dnieprowym. Czy liczą może na nieostrożność, zbyt szybkie posuwanie się Rosjan? A może powzięli decyzję wycofania się na linię z 1940 r. sprzed ataku na Rosję?

Liddell Hart ostrożnie nie odpowiada na te pytania. Pytania, które stanowią temat dociekań i niepewności nie tylko wszystkich pisarzy wojskowych, ale prawdopodobnie wszystkich sztabów, nie wyłączając rosyjskiego.

DOMINIK SZCZERBIC

Skrzynka pocztowa

JEŃCY NIE MAJĄ GŁOSU!

Szanowny Panie Redaktorze,

Byłym jeńcom i tym, którzy interesują się sprawami jeńców, zmuszony jestem, za Pańskim łaskawym pośrednictwem, podać do wiadomości następujący fakt:

Na zebraniu sprawozdawczym P.C.K. odbytym dn. 6. grudnia w Londynie w obecności Prezydenta Rzeczypospolitej, Premiera i licznej publiczności, na którym miało miejsce m.in. także sprawozdanie z akcji pomocy jeńcom poprosiłem na zakończenie o głos, aby w imieniu jeńców powiedzieć przed tym dostojnym gronem kilka słów. Odmówiono mi jednak kategorycznie i kilkakrotnie prawa do głosu, mimo że uprzedziłem o tym lojalnie przewodniczącego i mimo, że wiedział, iż po dwugodzinnym posiedzeniu nie miałem zamiaru mówić dłużej, niż dwie minuty.

Byli jeńcy nie mają prawa do głosu w takiej okazji, w której według słów prezesa zarządu miano mówić nie tylko o przeszłości, ale poruszyć także sprawy zamiarów na przyszłość. Nie pozostaje mi nic innego, jak ogłosić drukiem to, co powiedzieć chciałem, a czego mi powiedzieć nie pozwolono.

"Panie Prezydencie, Panie Premierze, Ekscelencje, Wysoki Zarządzie, Panie i Panowie!

Jesteśmy pod wrażeniem wymiaru, zasięgu i powagi dokonań instytucji, otoczonej nie tylko dostojeństwem, ale także aureolą misji, jaka w tej strasznej dla Polski wojnie przypada Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi. Oczy i serca Polaków zwrócone są jak reflektory na każdy dział pracy Czerwonego Krzyża w słusznej świadomości, że od każdego zależy los i życie dziesiątków tysięcy najbliższych nam ludzi.

Jeżeli prosiłem o głos na dzisiejszym zebraniu, które ma charakter uroczystości, to dlatego, że sam byłem jeńcem, że mam mandat byłych jeńców, aby w ich imieniu, więc w imieniu tych, którzy reprezentują tutaj "Stalagi" i "Oflagi" w Niemczech głos zabrać. Nie chcemy, aby przy okazji tego zebrania zabrakło tego głosu na to, aby wyrazić ich wdzięczność za wszystko, co dla nich dotąd dzięki Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi uczyniono, nie chcemy, aby zabrakło wyrazu ich życzeń i postulatów na przyszłość.

W imieniu tedy byłych jeńców, którzy tu w Anglii reprezentują całą jeniecką społeczność, zrozumiale zainteresowaną sposobami najlepszego, najpełniejszego wykorzystania potężnych środków, jakimi dysponuje Polski Czerwony Krzyż, proszę o zaprotokułowanie ich zbiorowego wniosku, który wysuwają w interesie wspólnego dobra:

po pierwsze, aby do pracy w dziale jenieckim powołany został któryś z byłych jeńców, jeden z tych, którzy wiedzą, jak jest po drugiej stronie, a doświadczywszy pomocy Czerwonego Krzyża albo jej braku, najlepiej znają cenę, wartość i sens dokonywanej w ramach tego działu pracy,

po drugie, aby w Czerwonym Krzyżu, przy dyrekcji w tym ścisłym sztabie, o którym mówił ks. biskup Gawlina, znalazł się mąż zaufania jeńców, a tym samym reprezentant ważnej części interesów, którym poświęcony jest i służy Czerwony Krzyż. Człowiek taki, będący wyrazicielem nie tylko opinii jeńców, ale także ich doświadczenia, oraz ich inicjatywy, może — czujemy to wszyscy — spełnić dziś jeszcze pożyteczną rolę w tym wielkim zespole szlachetnej pracy, jaka jest dumą i troską każdego czującego Polaka, oraz nadzieją tych, którzy za drutami zostawili swoich kolegów i przyjaciół, a znając ich dolę, nie przestają myśleć o ich losie."

Podając dziś do publicznej wiadomości ten tekst zastanawiam się nad pożytkiem tego rodzaju tradycyjnych i uroczystych "zebrań sprawozdawczych," w których opinia nie jest dopuszczona do głosu nawet wówczas, jeżeli ma na myśli nie krytykę, a tylko skromnie wyrażone postulaty i życzenia na przyszłość. Czy chodzi nam tylko o to, aby na papierze wszystko było w porządku? Czy może jednak przede wszystkim o to, aby poznać prawdziwe oblicze zarówno dokonań, jak i zagadnień pozostających do rozwiązania. Sprawozdawca z akcji pomocy jeńcom powiedział, że nie o nazwiska chodzi ale o cyfry. To co mówił nasuwa jednak sporo zastrzeżeń, nadających się do ostrej i rzeczowej dyskusji. Chodziło zarządowi o wywołanie wrażenia, że wszystko jest tak dobrze, że już lepiej być nie może, i obawiano się, że głos z publiczności zakłócić może harmonię tych bardzo jednostronnych wywnętrzeń.

Należało by przypuszczać, że to zupełnie naturalne, aby w tym ścisłym sztabie Czerwonego Krzyża, gdzie w stosunku do jeńców pobierane są ważne decyzje, znajdował się były jeniec. Listy nie dadzą pełnego obrazu rzeczywistości jeńca, o której mówił nam sprawozdawca, podając niby wielką rewelację fakt, że jeńcy czytają książki angielskie i że bywają ludźmi o wysokim poziomie intelektualnym. Branie za podstawę polityki paczkowej listu jeńca, który skarży się /!/ na otrzymywanie indywidualnych paczek jest zjawiskiem, które nie waham się określić jako niebezpieczne.

O paczkach i pomocy prywatnej nie padło ani słowo. Nie zaznaczono również wyraźnie, że jeżeli los jeńców w roku bieżącym uległ poprawie, to jest ona do zawdzięczenia głównie akcji rządowej, która przez *Lease and Lend* zaopatruje od bieżącego lata regularnie jeńców w paczki żywnościowe po jednej 5 kg paczce na jeńca miesięcznie. Padło za to masę słów obrazujących życie jeńców, tak jak sobie to wyobrażają ludzie zza biurek Londynu, na podstawie studiowania papierków. Dowiedzieliśmy się, że istnieje wreszcie pełna lista jeńców — bez nazwisk, ale chodzi o cyfry, prawda? I tymi cyframi można udowodnić, że każdy jeniec otrzymuje miesięcznie 12 kg. żywności. Czyli, że nieźle ludziom w obozach . .

Ale nie idzie przecież o drażnienie się wzajemne, ani o grę słów, idzie o sprawę ważniejszą. Wiem, że opinia nie posiada w dzisiejszym życiu wielkiego znaczenia wobec ludzi uzbrojonych w tytuły i obwarowanych na stanowiskach, które im dają możność trzęsienia tą czy inną instytucją. W pracy społecznej, w akcji dobroczynnej nie można jednak tak bardzo cennych ofert pomocy czy rady, czy wskazań, czy nawet krytyki załatwiać machnięciem ręki. Nie wolno, jak to miało miejsce ze strony najwyższych w P.C.K. czynników stwierdzać wobec jeńców, że było źle, bo nie mieliśmy funduszy /pomyślcie 178.891 funtów wydano na pomoc jeńcom w r. 1941, 331.506 w r. 1942, 460.159 za pierwszych dziesięć miesięcy roku obecnego/, teraz się jednak zmieniło, i każdy jeniec otrzymuje po dwie paczki miesięcznie . . .

Koledzy, którzy zwiali w lipcu stwierdzają, że jeżeli idzie o pomoc ze strony P.C.K., to nie wiele się zmieniło na lepsze. Są widocznie jakieś przyczyny i jakieś trudności, ale Czerwony Krzyż o tym nie wspomina, polityki zmieniać nie ma zamiaru, ludzi też nie. Bo i poco, skoro z zebrania sprawozdawczego wynika, że wszystko jest po prostu wspaniale i to bez udziału ludzi do tego stopnia niepotrzebnych, jak nimi są widocznie byli jeńcy.

Ale poco w takim razie ta strusia polityka, prowadzona przez Polski Czerwony Krzyż, czego dowód dał incydent na zebraniu sprawozdawczym, którego padłem ofiarą? Byli tam wszyscy panowie, wszystkie autorytatywne wielkości Czerwonego Krzyża i byłem ja sam jeden, nie robiący awantury, nie grożący żadnym skandalem, proszący tylko o głos. Można było, gdybym podniósł zarzuty niesłuszne albo wysunął propozycje nie do przyjęcia tam na miejscu, od razu przygwoździć ten fakt, odpowiedzieć argumentami, które jeżeli słuszne, trafiłyby mi z pewnością do rozumu i uspokoiły opinię. Ale nie można nakazywać mi milczenia. Ani milczeniem odpowiadać na głosy jeńców.

Już raz podniosłem protest, nie kierowany wcale przeciw Czerwonemu Krzyżowi, ale odezwały się tam nożyce w postaci pani Leszczyc /w nr. 38 "Polski Walczącej"/, która ujawszy mi lat i powagi potraktowała byłego jeńca jako "biednego chłopaka," co to potrzebuje użalić się przed kimś, a w ogóle jest niegrzeczny i zasługuje na klapsa albo na postawienie do kąta. Oficjalnie nikt głosu nie zabrał, chociaż zarzuty i pretensje formułowałem konkretnie.

Nie jestem dzisiaj sam. Posiadam liczne dowody, że stoi za mną zaniepokojona i czuła opinia ludzi na tym terenie najbardziej zainteresowanych zagadnieniem jeńców, bo tych, co nimi byli, czasem niedawno jeszcze. Ich obecność i ich zainteresowanie nie wszystkim są tutaj na rękę. Ale wiem, że się opinia ich nie uspokoi, dopóki te rozsądne i, zdawało by się, logiczne postulaty, jakie mieli wnieść przez moje usta na zebraniu Czerwonego Krzyża nie zostaną zrozumiane, uznane i przyjęte.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Aleksander Janta

LIST ZE STANÓW

Wielce Szanowna Redakcjo,

Choć dostaję tu od czasu do czasu "Polskę Walczącą" w tutejszej — właściwie New Yorskiej Księgarni, obecnie gdy przeniosłam się do innego stanu, chciałabym bardzo otrzymywać gazetę bezpośrednio. Załączam w tym celu na początek prenumeraty 2 dolary. Może gdy się zaznajomię, uda mi się zdobyć więcej czytelników, wówczas przyślę te pieniądze, bo nie wiem czy ten list dojdzie.

"Polskę Walczącą" nie tylko czytamy, ale wchłaniamy sercem każdą jej myśl. Oby takie pisma mogły docierać do wszystkich Polaków. Niestety biedna nasza Polonia w dalszym ciągu obałamucona jest przez nasze "Nowe Światy," "Kuriery Polskie" i t.p. pisma, które tylko na szkodę Polakom pracują.

W oczekiwaniu odpowiedzi, to jest "Polski Walczącej" ślę pozdrowienia zacnym Rodakom, niosącym wysoko sztandar naszego honoru.

D. Galińska, R.F.D. 1
Princeton, N.Y., U.S.A.

CZYTELNICY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości wszystkich ofiarodawców, że z darów na "Paczki od serca" ogłoszonych w Nr. 43, 44, 45, 46, 47 i 48 "Polski Walczącej" łącznie w kwocie £326.16.9 wysłano 532 paczki; 28 paczek odzieżowych, 69 paczek żywnościowych, 434 paczki papierosowe a 500 sztuk każda i 1 paczkę inwalidzką. Imienna lista tych, do których paczki wysłano jest do przejrzenia dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej."

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym
Stow. Społ. Służby Kobiet

Redakcja "Polski Walczącej,"
Szanowny Panie Redaktorze!

Otrzymałem od Mr. Dale z North Berwick list, który podaję w oryginalnym brzmieniu:

"Dear Sir,

For the past few weeks I have had Polish Soldiers from North Berwick working on my farms. I would be pleased if you would convey to them my thanks for the great work they have done. They have saved a lot of valuable food for the Country. Every man worked well and they all behaved beyond reproach. They were a credit to your Country, which I would like, myself, to visit.

I enclose a cheque for £10 which I hope you will use for some good purpose for the men under your command.

Yours truly, J. R. Dale."

Żołnierze moi pracujący na fermie Mr. Dale postanowili, aby przekazać otrzymane £10 na "paczki od serca" dla jeńców. Sumę powyższą przesyłam w załączeniu.

Dowódca Pułku, mjr. D.

* * *

The Editor, "Fighting Poland,"
Dear Sir,

At a lecture given by P/O Rafael Klinga /card enclosed/ I suggested that a collection should be made to buy parcels of cigarettes or food for Prisoners of War in Germany. This was done and I collected £5, which I enclose. My friends F/Lt and Mrs. Karpiński gave me your address. Will you please see that this money is used in the best way.

I have already sent several £s to the Polish Red Cross for cigarettes for Polish Prisoners of War—whose names I had been given.

Thank you.

Yours truly,
/Miss/ Winifred B. Knowles.

* * *

Instead of a Christmas gift for Miss Ivonne Walker, an arts student in London, I am sending £5 for Polish Prisoners of War Fund.

L.L.

Dla jenców w Niemczech: "paczki od serca"

W dniu odejścia kochanego dowódcy i organizatora . . . baterii por. P. Wł. zamiast kolacji pożegnalnej składają kwotę £10 — na paczki dla jenców polskich w Niemczech.

żołnierze . . . Baterii

* * *

Proszę przekazać załączony P.O. na "paczkę od serca" /załączone sh.9.3./

B.

* * *

Przesyłam WPanom kwotę £2 /słownie: dwa funty/ z prośbą o przekazanie na "paczki od serca" dla naszych jeńców wojennych w Niemczech.

Z poważaniem

st. sierż. Gr.

* * *

Kazimiera Herbichowa zamiast kwiatów na grób siostry ś.p. Marii Starża-Majewskiej, w dniu Jej imienin, składa na paczki od serca dla polskich jeńców £1 /jeden £/.

Przesyłam £6.4.6 zebrane przez oficerów i podchorążych 4 Kursu Uzbrojenia na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech.

W imieniu uczestników kursu przesyłam życzenia uzyskania poważnych funduszów na ten cel.

Z poważaniem

Kpt. St.I.

* * *

W załączeniu przesyłamy sumę £5 sh.14 /pięć funtów i czternaście szylingów/ na jeńców polskich w Niemczech zamiast kwiatów na trumnę ś.p. Stefana Rogala-Siwirskiego.

Koledzy
z byłego 16 Batalionu Dragonów

* * *

Pan Redaktor "Polski Walczącej,"

Wydział Kultury i Oświaty Inspektoratu Lotnictwa wystąpił z apelem do żołnierzy Lotnictwa o poparcie akcji zbiórki pieniężnej na zakup papierosów dla jeńców wojennych kampanii wrześniowej.

Akcja ta przeprowadzona w tut. Ośrodku pod hasłem "Na Gwiazdkę" a podchwycona przez żołnierzy ochotnie i serdecznie, dała rezultat sumę £53.12.2.

Kwotę tą przesyłam Panu Redaktorowi załączonym Money Orderem na £53.10.6, oraz znaczkami pocztowymi 1sh. 8d. z prośbą o przekazanie Funduszowi Obrony Narodowej i Darów, Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1 na zakup papierosów dla jeńców wojennych z kampanii wrześniowej.

Żołnierze tut. Ośrodka składając tę sumę nie tylko chcą zadokumentować łączność z kolegami w niewoli ale także mają nadzieję że pociągną tym przykładem inne jednostki do poparcia tego pięknego apelu.

Komendant Ośrodka
mjr. obs. W.D.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £163.19.11 /słownie sto sześćdziesiąt trzy funty, dziewiętnaście szylingów i jedenaście pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,412.13.5 /słownie tysiąc czterysta dwanaście funtów, trzynaście szylingów i pięć pensów/ i 50 milrejsów.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £10,478

Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam czek na kwotę £130 sh.2 /słownie: £ sto trzydzieści i sh. dwa/ stanowiącą pozostałość po zlikwidowanym kasynie oficerskim Dowództwa . . . Pułku Artylerii Lekkiej.

Zgodnie z uchwałą korpusu oficerskiego, kwotę powyższą proszę zużyć następująco:

1/ £65 na paczki papierosowe dla jeńców wojennych w pierwszym rzędzie po 500 szt. papierosów dla jeńców objętych załączonym wykazem, reszta według uznania P.C.K.

2/ 65.2 — na pomoc dla dzieci polskich.

Dowódca Pułku
podpułkownik Br.

£5 /pięć/ zebrane z wpłacanych mi procentów za kolportaż pism przeznaczam na pomoc dzieciom polskim.

Kanonier K.L.

* * *

ŁAŃCUCH OFIAR

Bezimiennie na Łańcuch Ofiar sh.3.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £70.5.0 /słownie siedemdziesiąt funtów i pięć szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,478.12.9 /słownie dziesięć tysięcy czterysta siedemdziesiąt osiem funtów, dwanaście szylingów i dziewięć pensów/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

Zamiast prezentów gwiazdkowych dla Marychny i Zosi C. przesyłam £1 na Gwiazdkę dla Junaków.

Hanka S.

Pieniądze te przesłaliśmy do komendanta obozu Junaków w Wielkiej Brytanii.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Kpt. J. Sz. przesłał: N. Henderson: "Failure of a Mission," H. Nicolson: "Why Britain is at War," A. Smith: "The Wealth of Nations," "Basic English for Polish Students," Eckersley: "Essential English" /3 egz./, "Common-Sense English Course," "English Grammar" /2 egz./, Berlitz: "Method for Teaching Modern Languages," A. Graham: "Does Poland matter to Britain," "Guide of Edinburgh," Plimmer: "Food Values in Wartime," R. Vansittart: "Czarny rejestr." B. Boswell: "The Survival of Polish Civilisation," M. Kukiel: "The Polish-Soviet Campaign of 1920," A. Żółtowski: "Germany, Russia and Central Europe," "A Speech" by Winston Churchill, "Biblia święta i dwie broszurki.

* * *

Dr. T. T. przesłał: F. C. Anstruther: "Poland's Part in the War."

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



"Czy potrzebny jest Pompka? Bądźcie ze mną dziś szczerzy"— Oświatowy oficer Spytał kilku żołnierzy.

Po naradzie, zbiorowo, Przy pomocy ankiety, Rozpatrzono złe strony I Walusia zalety.

Szef kompanii napisał: "Pompka nie jest bez winy— Bo zły wpływ ma na oddział Jego brak dyscypliny."



Całym workiem zarzutów Przyciśnięto biedaka: "Za wesoły." "Za głupi." "Blagier." "Żołnierz pokraka."

Tę ankietę przesłano Aż do "Polski Walczącej"— A redaktor ją czytał Zimny, blady i drżący.

Nie wynikło z tej sprawy Nic dla Pompki dobrego: Wymówili. Od stycznia. Wolny jest od pierwszego.

SPIS RZECZY:

KOMUNIKAT

Zarząd Zrzeszenia Filmowców i Fotografów przystępuje do szkolenia zespołu technicznego produkcji filmowej w składzie: Reżyser, Asystent reżysera, Scenarzysta, Ilustracja muzyczna, I operator /światło/, II operator /kamera/, Asystent operatora, Kierownik art., Montażysta, Asystent montażysty, Mixer, Operator dźwiękowy, Fotograf, Kontrola zdjęć, Charakteryzator, Makiety i tricki, Napisy filmowe, Wywoływanie negatywów i ozn. świateł, Kopiowanie dźwięku i obrazu, Montaż negatywu, Tricki laboratoryjne, Kolory.

Pierwszeństwo będą mieli kandydaci /ki/ w wieku do lat 35 /w wyjątkowych wypadkach ponad 35/, którzy nie posiadają żadnego zawodu, a mają odpowiednie wykształcenie i zamiłowanie. Przyjęcie wojskowych uzależnione jest od uzyskania urlopu. Szkolenie odbywać się będzie w bryt. studiach filmowych w Londynie i w tym okresie kandydaci otrzymywać będą stypendia.

Podania wraz z życiorysem należy składać do dnia 5.I.1944 r. na adres: Zrzeszenie Filmowców i Fotografów, 10, Argyll Str., London, W.1.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

POSZUKIWANIA

Kto z Polaków przybyłych z Rosji może udzielić jakiejkolwiek informacji o osobach niżej wymienionych, wywiezionych z Małopolski Wschodniej w r. 1940 do Rosji Sowieckiej zechce uprzejmie przysłać do redakcji "Polski Walczącej" dla L.B.

KOZŁOWSKA MARIA, jej synowa HELENA z córeczką EWĄ, MARCICHOWSKA HELENA, MARCICHOWSKI WITOLD, JURKIEWICZ WANDA, córka KAROLA.

* * *

P. Wiktor Wojciechowski, 52, Mechanics Ave., Trenton 9, New Jersey, U.S.A. — poszukuje wszelkich materiałów i wiadomości dotyczących Polaka generała Armii Amerykańskiej z okresu Wojny Domowej, Albina Franciszka Schopela, ur. 1. marca 1822 r. w Podgórzu pod Krakowem.

Wiadomości te potrzebne są do przygotowywanej pracy. Wszystkie osoby, które mogłyby w niej pomóc proszone są o bezpośrednie skomunikowanie się z p. Wojciechowskim.

* * *

Kto z Polaków przybyłych z Rosji lub Iranu może udzielić wiadomości o JERZYM HANUSZU ur. 1905 r., zamieszkałym ostat. we Lwowie, skąd został pod koniec 40 r. wywieziony do więzienia /obozu/ w Czerepowcu pod Moskwą. Zwolniony w 41 r. widziany ostatni raz w Archangielsku.

Wiadomości proszę kierować do Admn. "P.W." pod "K.A.M."